



Bajki nieBajki

O tym, co stało się z naszym światem

Mirka Dziemianowicz

Wydawca:

Akademia WSB
ul. Cieplaka 1c
41-300 Dąbrowa Górnicza
tel. (32) 295 93 59

Akademia WSB

Dąbrowa Górnicza, Cieszyn, Olkusz, Żywiec, Kraków

WSB University

www.wsb.edu.pl

ISBN 978-83-66794-76-4

Recenzja: dr hab. Marek Walancik, prof. AWSB

Oprawa graficzna: Krzysztof Nowak

Projekt i skład: Mateusz Król

Korekta: Daria Swędzioł

© Copyright by Akademia WSB

Kopiowanie w całości lub we fragmentach zabronione

Dąbrowa Górnicza 2022

Bajki nieBajki

O tym, co stało się z naszym światem

Mirka Dziemianowicz

Spis treści

STRONA

5	Trzy Prawdy. Bajka nie tylko dla dzieci
7	Czy Lisek to chytrusek, czyli „najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”
9	Strach, co ma wielkie oczy
11	Trzy szczęścia. Bajka o tym, że nic nie jest takie, jakie się wydaje
13	Zagubione piękno
15	Dobro, które podobno jest wszędzie, czyli bajka o naszej skłonności do przesady
17	Bajka o snach, czyli potęga podświadomości
19	Zostań ze mną. Bajka o bezradności i przemijaniu
21	Odpowiedzialność. Bajka o tym, jak słowa zastępują rzeczywistość
23	Bajka o złu, czyli dlaczego zwykły Piotruś stał się Czarnym Piotrusiem
25	Los kobiety, czyli bajka o zmianie
27	Rynek marzeń, czyli wszystko jest na sprzedaż
29	Miłość niejedno ma imię
31	Obecność. Bajka o tym, co nigdy nie przemija
33	Męskie Ego, czyli bajka o stracie
35	Zwykła ludzka przyzwoitość
37	Wierność i Zdrada
39	Bajka o psie, który co prawda nie jeździ koleją, ale za to jest najukochańszy na świecie
41	Chcemy iść do szkoły. Bajka o tym, jak było przedtem
43	Kiedy wali się cały świat. Bajka o prawdziwym smutku, który czasem zamienia się w gniew
45	Piękna i ta druga. Bajka o życiu w cieniu i o byciu cieniem
47	Starość. Bajka o zapominaniu
49	Sława. Bajka o tym, jak słowa zmieniają znaczenia
51	Nauka, wiara i rozsądek. Kto opowiada nam świat
53	Od/czarowane dzieciństwo. I to wcale nie bajka
55	Bajka o tym, że wszystko zawsze wraca na swoje miejsce
57	Zła matka. Jak żyje się bez tego, co najważniejsze
59	Tak bardzo się boję. Bajka o lęku, który zawsze nam towarzyszy
61	Piękno, które potrafi wygrać z cierpieniem
63	O deszczu, który wcale nie musi być smutny
65	Wolność i Wojna. I to już nie jest bajka

Wprowadzenie

Pisanie jest dla mnie jak oddychanie. Oczywiście, konieczne do życia. Jest też moim sposobem na komunikowanie się ze światem – z innymi ludźmi, ze sobą samą. Pisząc, układam sobie w głowie świat, ten swój, składający się z moich doświadczeń, nadawanych przeze mnie znaczeń, i ten otaczający, pełen zupełnie innych doświadczeń i zupełnie innych znaczeń. Pisanie to moje życie. Dlatego napisałam tę książkę.

Napisałam ją z najgłębszej potrzeby serca. Napisałam ją z własnej wyobraźni – tak wyobrażam sobie, tak widzę miłość i odpowiedzialność, starość, wierność i zdradę, tak widzę zwykłą ludzką przyzwoitość. Tak widzę te najważniejsze w naszym życiu rzeczy i poza tym, że je tak widzę, to bardzo się o nie martwię. I to zmartwienie to też jest powód, dla którego napisałam tę książkę. W codziennym pędzie nie mamy przecież czasu (ani nie czujemy potrzeby), żeby stawiać sobie pytania o to, co w naszym życiu jest najważniejsze. Umykają nam te ważne sprawy, siedzą gdzieś skulone, schowane i wydaje się, że już nigdy nie wyjdą na jaw, że już nigdy się nie przebiją przez absorbującą nas bez reszty codzienność.

Chciałam te ważne sprawy wydobyć na pierwszy plan, chciałam zainteresować nimi innych, chciałam sobie i wam o tych ważnych sprawach przypomnieć. I chciałam siebie i was sprowokować do myślenia, czy faktycznie jest tak, jak mówią te bajki, czy może jest całkiem inaczej. Każda chwila, każda sekunda poświęcona na namysł nad odpowiedzią na to pytanie wydaje mi się bezcenna. Bezcenna i warta naszego czasu. Tego, o którym kiedyś moja uczona Przyjaciółka powiedziała, że ciągle nam go brak, więc może powinniśmy stworzyć sobie taki bank czasu, w którym moglibyśmy pożyczać ten czas, brać go w leasing, a może nawet przechowywać na jakichś długoterminowych i niezwykle opłacalnych lokatach.

Czas poświęcony na pisanie tych bajek o życiu, o tym, co w życiu najważniejsze, najbardziej elementarne i jednocześnie najbardziej uniwersalne, był dla mnie jednocześnie czasem najbardziej wartościowym pod słońcem. Pozwolił nie tylko przypomnieć sobie o tym, co znajdziecie w tych bajkach – o strachu, o pięknie, o szczęściu, o losie kobiety, męskim ego czy od/czarowanym dzieciństwie. Pisanie tych krótkich form, które nazwałam *Bajki nieBajki*, przeniosło mnie – badaczkę społeczną – w zupełnie inny świat. Świat, w którym rzeczy nie muszą być takie, jak się wydają na pierwszy rzut oka, świat, w którym zdarzyć się może wszystko i nic nie jest oczywiste. Nieoczywistość, różnorodność, nieprzewidywalność świata to coś, co mnie w nim pociąga najbardziej. Pociąga, fascynuje, inspirowa. W tych krótkich bajeczkach mogłam sobie pozwolić na puszczenie wodzy fantazji, na zdziwienie, na zaskoczenie nawet. Mogłam w nich i dzięki nim zrobić coś, na co nie pozwala sformalizowany jednak język nauki – mogłam wypowiedzieć się wyłącznie po swojemu i tylko we własnym imieniu. *Bajki nieBajki* raju to moje opowieści o życiu. Tak widzę te wszystkie opisane sprawy. Dokładnie tak. I bardzo chciałabym, żebyście się dzięki tym bajeczkom o tym dowiedzieli. Zapraszam was bajeczkami z mojego raju, bajeczkami o życiu do mojego świata. Zapraszam was do świata, który jest wspólny, jest każdej i każdego z was. I zapraszam was do świata, w którym o każdej z opisanych historii, sprawie, emocji możecie mieć inne, własne, odmienne zdanie. Pomyślmy, porozmawiajmy o życiu. Pomyślmy, porozmawiajmy o *Bajkach nieBajkach*.

Mirka Dziemianowicz



Trzy Prawdy

Bajka nie tylko dla dzieci

Dawno, dawno temu w trzech potężnych i znanych rodach urodziły się tego samego dnia, o tej samej porze, trzy córki. I każdej nadano imię Prawda. Pierwsza z nich była cichutką, słodką blondyneczką o wielkich, niebieskich oczach. Druga, kruczowłosa, o przenikliwym spojrzeniu piwnych oczu, już od pierwszych dni na świecie, od początku swojego pojawienia się na nim budziła respekt. Trzecia zaś była ruda. Ruda jak miedź, jak złoto i jak ono lśniąca – gdziekolwiek się pojawiała, tam błyszczała, lśniła, zachwycala. Dorastały sobie te trzy dziewczynki, te trzy Prawdy, spokojnie w swoich domach, otoczone opieką, miłością, czułością. I trwałyby jeszcze długo ta sielanka, gdyby nie wielki bal dla panien, na który zaproszono wszystkie z nich. Wystrojone, przejęte, pełne nadziei na niesamowite przeżycia miały przed sobą swój WAŻNY DZIEŃ. Dzień, w którym zadebiutują towarzysko, dzień, w którym pozna je świat. Dzień dobry, to jest Prawda – przedstawił blondynkę jej potężny Ojciec. – Dzień dobry, to jest Prawda – przedstawił czarnowłosa jej równie potężny Ojciec. – Witajcie, przedstawiam Wam Prawdę – oznajmił przy wejściu tak samo potężny jak dwaj poprzedni Ojciec rudej dziewczyny. Lekko skonsternowani zebrani starali się jakoś przykryć zmieszanie, jednak ich zakłopotane miny, ich szeptanie po kątach pokazywało, jak bardzo są tą sytuacją zaskoczeni. Ale ich zdziwienie to drobniaczek, błahostka i pikus przy wzburzeniu trzech potężnych i znakomitych Ojców. Cóż to był za gniew. Cóż to było za oburzenie. Jak to – to ja mam Prawdę. Nie, Prawda jest moja. A skąd ten pomysł – żadna z nich nie jest Prawdą, tylko ta jedna, jedyna, ta moja – krzyczeli wniebogłosy. Zdezorientowane trzy córki, trzy Prawdy najpierw próbowały się schować, zniknąć, stać się niewidzialne. No ale jak to zrobić, kiedy wszyscy się patrzą, kiwają głowami i pytają: to która z nich jest Prawdą? – Moja, tylko moja – krzyczy Ojciec blondynki. – Nieprawda, to moja jest prawdziwą Prawdą – wrzeszczy Ojciec kruczowłosej. – Nie widzicie, jak Ona lśni, jakie światło od niej bije? Tylko tak może wyglądać Prawda – krzyczy Potężny Ojciec rudej.

Nic więc dziwnego, że w tak wielkim zamieszaniu, zgiełku i rozgardiaszu trzy młode panny, nasze trzy Prawdy postanowiły salwować się ucieczką. Biegły i biegły przed siebie tak długo, aż dotarły do jakiegoś pięknego, wielkiego ogrodu. Czego w nim nie było!!! Drzewa małe i duże, owocowe, liściaste oraz iglaki, kwiaty polne we wszystkich kolorach tęczy (tęcza to nie jest brzydkie słowo, kochane dzieci), kwiaty ogrodowe – róże, tulipany, storczyki, piwonie. Były też zwykłe trawy, pospolite paprocie, były pokrzywy i różne zioła. No i chwasty, co rosną wszędzie jak na drożdżach, też były w tym ogromnym, tajemniczym ogrodzie. Był to bowiem Ogród Różnorodności. Bardzo spodobało się w nim naszym trzem Prawdom. Postanowiły w nim zostać na dłużej. Postanowiły tam ukryć się przed światem, w którym do dzisiaj ludzie wrzeszczą do siebie – tylko moja Prawda jest prawdziwa, tylko moja, nie twoja. A ponieważ ludzie tak wrzeszczą do dzisiaj, to i Prawdy do dzisiaj ukrywają się w tym pięknym OGRODZIE RÓŻNORODNOŚCI.



Czy Lisek to chytrusek, czyli „najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”

Na całkiem pustej ławeczce siedziała sobie mała dziewczynka. Siedziała sobie tak, siedziała i była bardzo smutna. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, do małej, siedzącej na ławce smutnej dziewczynki podszedł piękny, rudy lis.

– Mała dziewczynko, dlaczego jesteś taka smutna? – zapytał lis.

To lisy mówią? – zdziwiła się dziewczynka. Ale przecież była mała, przecież była smutna, więc po chwili zastanowienia postanowiła porozmawiać z lisem.

– Wiesz, jestem smutna, bo wszystko tak nagle się zmieniło. W moim domu się zmieniło. Przez tę okropną pandemię – powiedziała dziewczynka.

– Co się takiego zmieniło, mała dziewczynko, że napawa cię aż tak wielkim smutkiem? – zapytał lis.

– Zmieniło się wszystko. Nie chodzę już do szkoły, nie bawię się z koleżankami, nie spotykam się z naszą panią, która każdego dnia miała dla nas tyle ciekawych rzeczy do zrobienia. Siedzę w domu i każdy dzień jest podobny do poprzedniego. Na domiar złego w domu siedzą mój tata i moja mama. A ja tak lubiłam, jak każdego dnia tata wracał z pracy, uśmiechnięty, pachnący, zadowolony i opowiadał śmieszne historie o tym, co się wydarzyło. Brał mnie wtedy na ręce, robił wiatraka i było tak cudownie, tak radośnie, jakbym była w niebie. Mama też nie wychodzi do pracy, nie ubiera tych swoich pięknych sukienek, nie wraca roześmiana, pełna zapału i pomysłów na przyszłość. Mama teraz pracuje w kuchni, porozkładała te swoje papiery, więc jak chcę naleśniki, to najpierw jest trochę zła, potem musi poskładać swoje rzeczy, a potem mi je robi. Ale to już nie są te kochane, mamine naleśniki. To są naleśniki covidowe, naleśniki czasu pandemii. Wyproszone przeszkadzajki. Wszystko jest teraz przeszkadzajką. Od kiedy rodzice cały czas pracują w domu, ja też jestem przeszkadzajką.

– Wiesz co, dziewczynko – powiedział lisek. – Mam dla ciebie radę. Na niektóre rzeczy w życiu nie masz wpływu – one po prostu od ciebie nie zależą. Na tę pandemię to w ogóle nikt nie ma wpływu. Zaskoczyła wszystkich. Ale jest sposób na twój smutek i twoją samotność. Zawsze, jak robi ci się tak bardzo smutno i tak bardzo samotnie, przymknij oczy i wyobraź sobie, że twój tatuś wraca właśnie z pracy, pachnący, uśmiechnięty i radosny, i znowu opowiada te swoje ciekawe historie. Wyobraź sobie mamę, która nie musi pracować w kuchni, bo jej firma działa. Wyobraź sobie zadowoloną z całego dnia mamę, która wraca do domu, ma dla ciebie czas, ma ochotę z tobą rozmawiać i nawet chce (bez proszenia) zrobić ci te pyszne, twoje ulubione naleśniki. Wyobraź sobie tatę nakrywającego do stołu, mamę dumną ze swojej potrawy i siebie szczęśliwą z tymi, których kochasz najbardziej na świecie. I wyobraź sobie, że zapraszasz do domu, do swojego domu, z tą szczęśliwą mamą i tatą i z pysznymi naleśnikami swoje koleżanki. I bawicie się, i rozmawiacie, i jest wesoło, jest dobrze, jest pięknie.

Dziewczynka przymknęła oczy. Lisek czekał. Cekał, czekał i czekał. I stał się cud. Tak, cuda się zdarzają. Dziewczynka się uśmiechnęła.

– Widziałam to wszystko, czułam to wszystko – krzyknęła. – Dziękuję ci, lisku – powiedziała i uśmiechnięta wróciła do domu.

Lisek podarował dziewczynce wyobraźnię. To wielki dar. To wielki prezent. A lisek okazał się nie chytruskim, tylko tym, kto pomaga, kto innym otwiera oczy. Hojnym darczyńcą.

the 1990s, the number of people in the UK who are obese has increased by 50% (Health Survey for England 2001). The prevalence of obesity in the UK is now 10% in men and 13% in women (Health Survey for England 2001).

Obesity is a risk factor for a number of chronic diseases, including coronary heart disease, stroke, type 2 diabetes, osteoarthritis, and certain types of cancer (World Health Organization 1997). Obesity is also associated with a number of other health problems, including depression, asthma, and sleep apnoea (World Health Organization 1997). The health problems associated with obesity are a major cause of morbidity and mortality in the UK.

Obesity is a complex condition, and its aetiology is not fully understood. It is thought to be caused by a combination of genetic, environmental, and behavioural factors. Genetic factors are thought to play a role in the development of obesity, as obesity tends to run in families. Environmental factors, such as diet and physical activity, are also thought to play a role in the development of obesity.

Behavioural factors, such as eating a high-calorie diet and leading a sedentary lifestyle, are also thought to play a role in the development of obesity. Obesity is a preventable condition, and it is important to take steps to prevent its development. This can be done by eating a healthy diet, leading an active lifestyle, and avoiding smoking and drinking alcohol.

Obesity is a major public health problem in the UK, and it is important to take steps to prevent its development. This can be done by eating a healthy diet, leading an active lifestyle, and avoiding smoking and drinking alcohol. Obesity is a preventable condition, and it is important to take steps to prevent its development.

Obesity is a complex condition, and its aetiology is not fully understood. It is thought to be caused by a combination of genetic, environmental, and behavioural factors. Genetic factors are thought to play a role in the development of obesity, as obesity tends to run in families. Environmental factors, such as diet and physical activity, are also thought to play a role in the development of obesity.

Behavioural factors, such as eating a high-calorie diet and leading a sedentary lifestyle, are also thought to play a role in the development of obesity. Obesity is a preventable condition, and it is important to take steps to prevent its development. This can be done by eating a healthy diet, leading an active lifestyle, and avoiding smoking and drinking alcohol.

Obesity is a major public health problem in the UK, and it is important to take steps to prevent its development. This can be done by eating a healthy diet, leading an active lifestyle, and avoiding smoking and drinking alcohol. Obesity is a preventable condition, and it is important to take steps to prevent its development.

Strach, co ma wielkie oczy

W wielkim, ciemnym lesie, w lesie tak ciemnym, że już sama ta ciemność budzi przerażenie, mieszkał sobie Strach. Zadomowił się tam na dobre. Jest ciemno, jest strasznie, jest tak, jak być powinno w domu, w którym mieszka Strach. O tym lesie krążą wkoło legendy. Ludzie opowiadają sobie o nim niestworzone historie. O złym wilku, który atakuje każdego, kogo spotka na swej drodze, o człowieku, który mieszka w tych ciemnościach i na widok zagubionego wędrowca wyje i krzyczy wniebogłosy. Strach tam wejść. Wielki Strach.

Tym lasem straszono okoliczne dzieci. – Zaprowadzę cię do ciemnego, straszego lasu i tam cię zostawię – groziła matka, straciwszy już zupełnie cierpliwość do swojego synka lub swojej córeczki. – Zobaczysz, zaprowadzę cię do straszego lasu i tam się przekonamy, jaki z ciebie chojrak – grozili swoim synom zdenerwowani ojcowie. Oczywiście, były to tylko słowa. Słowa, które mają budzić strach. Bo jaki kochający rodzic naprawdę chce zrobić krzywdę swojemu dziecku? Jaki kochający rodzic chce, żeby jego dziecko czuło strach? Wielki Strach.

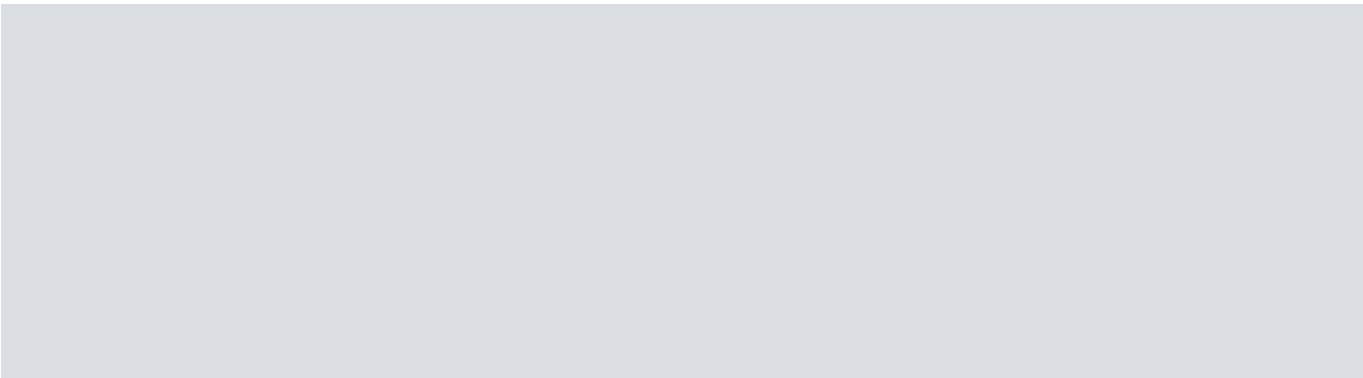
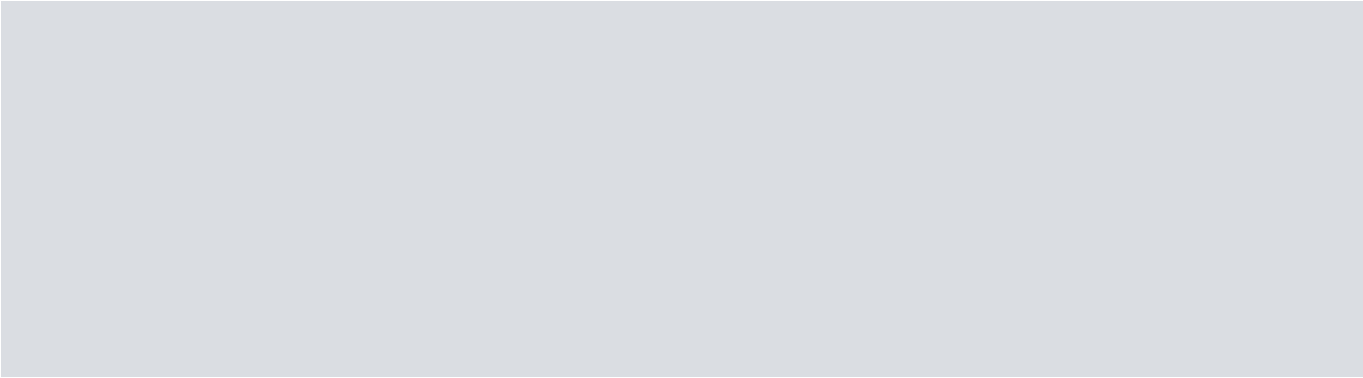
Mieszkający w okolicy dorośli też bali się ciemnego, straszego lasu. Bali się wilków, bali się krzyczących wniebogłosy, mieszkających w samotności i ciemności ludzi, bali się (jak pewnie my wszyscy) ciemności. Bo zarówno ciemność jest straszna, jak i to wszystko, co w tej ciemności może się schować. Niewidoczne dla oczu, nieprzewidywalne, zaskakujące. Straszne.

I rósł sobie spokojnie ten ciemny, ten straszny las i rosła sobie o nim legenda. Rosła, potężniała, zyskiwała coraz większą siłę i coraz większą moc. Ludzie bali się straszego lasu, ludzie bali się o siebie, o swoje dzieci, o swoje zwierzęta. Ludzie bali się tego, co w tym lesie można spotkać i tego, co może z niego wyjść, podejść do ludzi, do ich domów, przestraszyć, zagrozić, zniszczyć.

Jednak pewnego razu znalazł się Śmiałek – a nawet cała grupa Śmiałków, którzy postanowili odwiedzić ten ciemny, wielki, straszny las. Las, w którym mieszka Strach. Chłopcy (bo o nich tu mowa) od dawna szykowali się do tej wyprawy. Najpierw przeczytali, co tylko możliwe o wilkach – gdzie mieszkają, co jedzą, jakie mają usposobienie, kiedy i dlaczego bywają groźne. Później dowiedzieli się, jak poruszać się w ciemności, zebrali potrzebny im sprzęt (te wszystkie latarki, kompasy, komórki wyposażone w GPS-y, jakieś noże, zapas jedzenia, picia, czekoladę, która jest dobra na wszystko) i wyruszyli. Wyruszyli do ciemnego, przerażającego lasu. Lasu, w którym mieszka Strach.

Najpierw szli roześmiani, hałaśliwi, nienaturalnie głośni, przykrywając w ten sposób swój własny strach. Ale kiedy już weszli do tego ciemnego, przerażającego lasu, zamilkli i w ciszy, krok za krokiem, próbowali posuwać się do przodu. I z każdym krokiem, z każdym pokonanym kawałkiem tej przerażającej, owianej budzącą groźną legendą, przestrzeni coraz szerzej otwierali oczy. Otwierali je nie ze strachu, który – jak powszechnie wiadomo – MA WIELKIE OCZY. Otwierali je ze zdziwienia i z zachwyty. – Jak tu jest pięknie – zawołał jeden z nich. – Jakie tu rosną jagody. Wielkie jak czereśnie, słodkie jak czekolada, soczyste, pachnące, po prostu doskonałe. – Popatrz na te maliny – zawołał drugi, zbliżając się do dużego zagajnika malinowych krzewów. – A jeżyny? Patrzcie, jakie czarne, jakie dorodne rosną w tym lesie jeżyny – zawołał trzeci z chłopców. – Ja znalazłem grzyby, całą łąkę grzybów – krzyknął czwarty chłopiec i mocno oświecił latarką tę swoją zdobycz.

Wrócili chłopcy do domu z pełnymi kieszeniami, workami, torbami, plecakami i wszystkim, co tam mieli ze sobą i co nadawało się na opakowanie dla jagód, malin, jeżyn i grzybów, tych niesamowitych darów lasu. Lasu, w którym mieszkał Strach. I wtedy wszyscy zobaczyli, wszyscy się przekonali, co naprawdę znaczy, że STRACH MA WIELKIE OCZY. Zobaczyli, a nawet się o tym przekonali, że nie warto się bać, że lepiej te oczy szeroko otworzyć i wyjść naprzeciw swojemu strachowi. A wtedy może się okazać, że w ciemnym lesie wcale nie mieszka Strach, tylko dar. Dary.



Trzy szczęścia

Bajko o tym, że nic nie jest takie, jakie się wydaje

Była sobie kiedyś dziewczynka. Miała na imię Joasia. Była prześliczna. Od kiedy tylko pojawiła się na świecie i otworzyła swoje błękitne oczka, budziła zachwyt. – Jaka ona jest śliczna – mówiły pielęgniarki, które opiekowały się Nią zaraz po urodzeniu. – Jaka piękna – wołali goście, którzy przychodzili do domu Jej mamy z gratulacjami i wielką ciekawością, kto to pojawił się właśnie na świecie. I tak się jakoś stało, że na Joasię nikt w domu nie mówił po imieniu – nazwano Ją Szczęściem. Naszym Szczęściem. Nasze Szczęście rośło sobie radośnie i zdrowo wśród kochających dorosłych i zachwyconych Jej urodą dzieci. Każdy się uśmiechał na widok Joasi nazywanej Szczęściem, każdy chciał przebywać w Jej towarzystwie, każdy czuł się przy niej trochę lepszy i trochę piękniejszy. Nic więc dziwnego, że nasza Joasia (przepraszam, nasze Szczęście) myślała, że tak właśnie wygląda świat, że tak traktowani są wszyscy ludzie, że tak po prostu musi być. O nic nie zabiegała, o nic nie musiała się troszczyć. To inni o Nią zabiegali, to inni się o Nią troszczyli. Była przecież Szczęściem. Naszym Szczęściem.

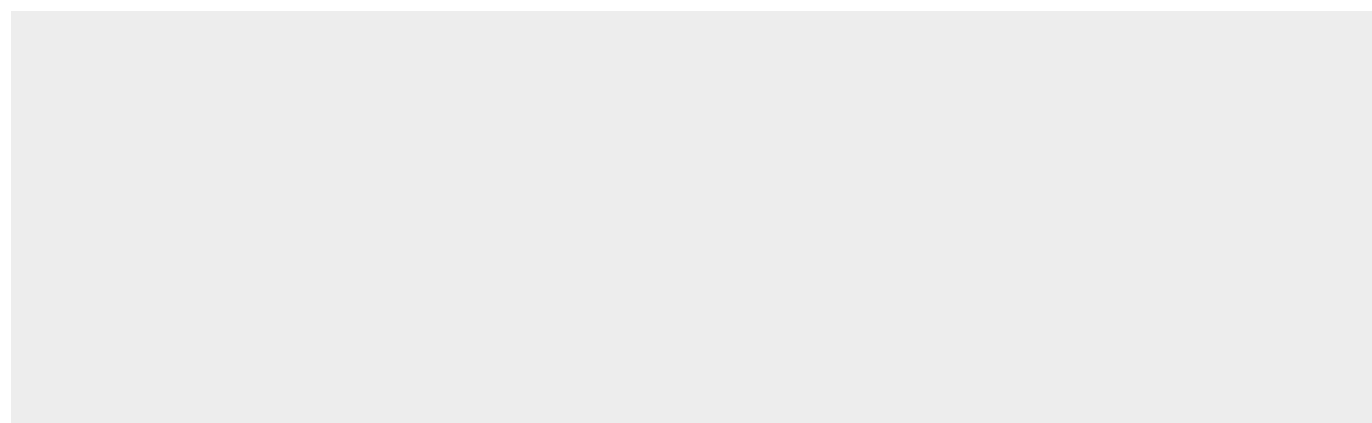
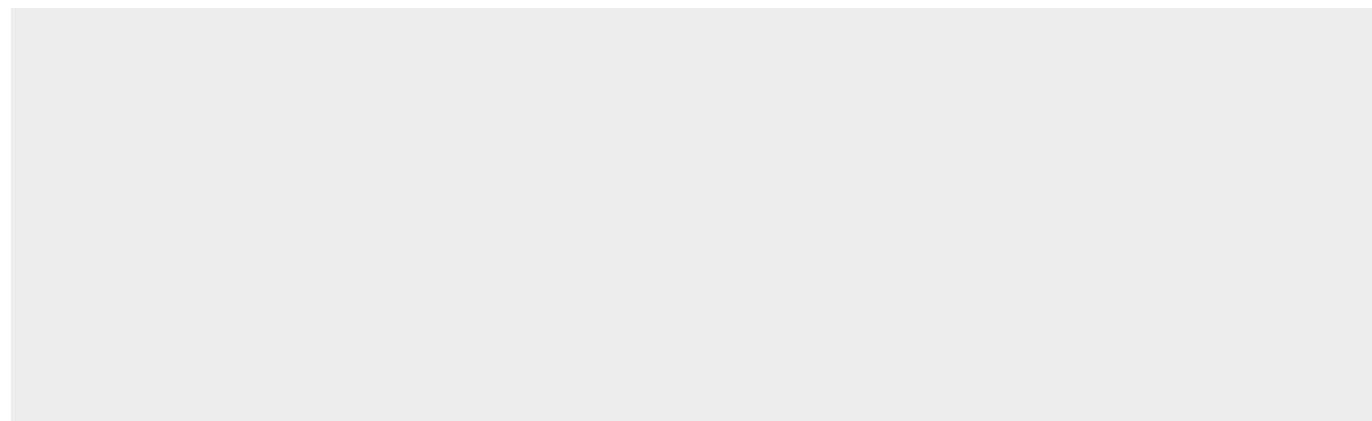
Całkiem niedaleko, tuż obok nawet, mieszkała sobie Staruszka. Chociaż dzisiaj już nie wolno/nie wypada o nikim mówić Staruszka, to ta kobieta tak właśnie była wokół nazywana. Mieszkała sama. I wydawało się, że Staruszką była od zawsze. Nikt nie pamiętał, żeby była młoda. Nikt nie pamiętał, żeby nie była sama. Opowiadano w okolicy, że spotkały ją w życiu same nieszczęścia. Tragedia za tragedią, po prostu. A to ktoś bliski i bardzo kochany ją porzucił, a to ktoś nagle umarł, a to znowu ktoś inny oszukał i zdradził. Staruszka była pogodzona ze swym losem. Nieco smutna (a może tylko refleksyjna i zadumana, bo jak wiadomo refleksyjność i zaduma bardzo przypominają smutek), lubiła całymi godzinami przesiadywać na swojej małej ławeczce przed domem. Tę ławeczkę postawił jej ktoś kiedyś bardzo kochany, więc tym lepiej się na niej siedziało i tym lepiej się na niej dumało. Czy była szczęśliwa? Nie myślała o tym. Była pogodzona. Pogodzona ze swoim losem.

W innym zakątku nieco, w oddali mieszkał sobie pewien Pan. Ten Pan był bardzo bogaty. Był tak bogaty, że nawet nie potrafił powiedzieć, ile ma pieniędzy. Pomnażał je bez końca, dzień po dniu, minuta po minucie. Pieniądze były dla Niego wszystkim. Powietrzem, którym oddychał, celem, do którego dążył, jedynym, o jaki warto zabiegać. Miał jakąś rodzinę, jakąś kobietę i jakieś dzieci, ale nie za bardzo go ten stan posiadania obchodził, ani nie za bardzo go on zajmował. Nie był to przecież ten stan posiadania. Nie były to przecież najważniejsze w życiu pieniądze. Czy był szczęśliwy? A cóż to jest szczęście, jak je przeliczyć na tak ważne, najważniejsze nawet pieniądze?

Jak to się stało, że pewnego dnia to wszystko nagle i niespodziewanie się zmieniło? Tego nie wie nikt. I nikt tego dokładnie nie pamięta. Jednak zmieniło się wszystko diametralnie. Joasia, nazywana Naszym Szczęściem, wyrosła na całkiem przeciętnej urody egoistyczną, zapatrzoną w siebie i nieco wredną kobietę. Ludzie zaczęli się od Niej odsuwać, bo takich jak Ona – przeciętnych, egoistycznych i zapatrzonych w siebie kobiet – jest wokół bardzo dużo. Po co więc tkwić przy jednej z nich? Kogo obchodzi jakaś przeciętna, egoistyczna, zapatrzona w siebie i trochę wredna kobieta?

Bardzo bogaty Pan przestał nagle być bogaty. Przez jedną nieudaną inwestycję, podyktowaną (jak to u niego) niewyobrażalną wprost chciwością, bogaty Pan stracił wszystko. Przestał być bogaty. A ponieważ pieniądze to było wszystko, co dla niego najważniejsze, Pan czuł się tak, jakby przestał istnieć. Nagle z dnia na dzień. Był Pan – nie ma Pana.

I tylko nasza Staruszka, która nadal siedzi sobie na swojej ławce i rozmyśla o życiu, niczego nie straciła. Pogodzona ze swoim losem, zadumana, daje innym poczucie, że jest na tym świecie coś stałego, coś na zawsze. Ale czy to jest szczęście?



Zagubione piękno

Było sobie piękno. Wielka szkoda, że tylko było. Było, a już nie ma. Było, ale przeminęło.

O tym przemijaniu piękna, o jego smutnej, sromotnej klęsce jest ta bajeczka. Ale jak wszystko w życiu może nas jeszcze zaskoczyć.

Wróćmy tymczasem do piękna, które było. Było wszędzie. W ludzkich domach, w ludzkich sercach, w ludzkich budowlach, w przedmiotach, którymi otaczali się ludzie. Piękno było odzwierciedlane. Kwiaty, rośliny, zwierzęta, tęcza na niebie (tęcza, dzieci, to nie jest brzydkie słowo) zachwyciły swym pięknem, które ludzie starali się jakoś zatrzymać, po swojemu uwiecznić, nadać mu swój kształt. Piękno dawało radość. Niebo po burzy, wiosenna feeria barw, zapachy letniej nocy, tańcząca kobieta, śmiejące się dziecko – czyż nie kojarzą się z pięknem? Takim czystym, takim po nic. Piękno było po nic. Było i tyle. Było i aż tyle.

Pewnego razu ludzie odkryli, że pięknem można handlować. Że można je zapakować (najlepiej pięknie) i dobrze sprzedać. A za zarobione w ten sposób pieniądze nie trzeba wcale kupić następnego piękna. Nie trzeba go pomnażać. Można za pieniądze zarobione na pięknie kupić sobie władzę. Kupić i utrzymać. Kupić i nigdy już tej władzy nie oddać. I tak piękno stało się zakładnikiem rynku. Stało się też zakładnikiem okropnych, rynkowymi nazywanych reguł gry – popytu i podaży. Jest popyt na kicz – kicz jest piękny. Jest popyt na disco polo – disco polo jest piękne. Jest popyt na głupotę, na rechot – głupota i rechot są piękne.

Nasze prawdziwe piękno, to piękno, które jest po nic, które jest i tylko tyle, i które jest i aż tyle, nie mogło tego znieść. Najpierw z pewną nadzieją ukryło się w Akademii Sztuk Pięknych. Tytu tam przychodziło zdolnych ludzi! Ludzi spragnionych piękna, ludzi, którzy je kochali, którzy chcieli z nim żyć i chcieli w nim żyć. Ale i to się skończyło, bo i tam, do tych Akademii, do tych enklaw piękna także dotarły rynkowe reguły gry. I wypędziły piękno z Akademii.

Błąkało się to bezpańskie piękno i rozmyślało nad swoim losem. Nigdzie nie pasuje, nikogo nie obchodzi, jestem jakimś nikomu niepotrzebnym przeżytkiem. Ludzie już nie chcą żyć pięknie. Ludzie chcą żyć wygodnie. Nie chcą pięknie działać. Chcą działać skutecznie. Nie chcą nawet pięknie ze sobą rozmawiać – chcą ze sobą rozmawiać krótko, szybko, skutecznie. Ludzie już nie umieją zobaczyć piękna – przykryły im je te wszystkie użyteczne, przydatne, modne maski, bo ludzie stracili wzrok. Jak bez wzroku zobaczyć piękno? Jak je dostrzec w szaleńczym pędzie do zupełnie innych celów – do władzy, sukcesu, pieniędzy? I szło tak sobie nasze bezpańskie piękno w tym paskudnym, brzydkim świecie, aż tu nagle... coś jakby szelest trawy, jakby powiew wiatru, jakby człowiek idący polną drogą, czy kobieta siedząca przed domem. I młodzi ludzie idący sobie razem, którzy coś do siebie mówią, trochę się przekrzykując. W pewnej chwili ktoś z nich wskazuje to, co wokół – drogę, las, tę siedzącą przed domem kobietę i mówi: Jakie to piękne! Jakie to piękne – pomyślało nasze piękno. Jestem!!! Jestem w ich świecie, nawet jeśli tego nie widzą. Jestem w ich sercach, nawet jeśli głęboko mnie tam ukryli, jestem w ich życiu, nawet jeśli ich przerosła jego monotonna codzienność, jestem w otaczających ich rzeczach, nawet jeśli stracili wzrok czy choćby zdolność widzenia. Jestem – pomyślało piękno i zostało z nami na zawsze.



Dobro, które podobno jest wszędzie, czyli bajka o naszej skłonności do przesady

Są takie rzeczy, których jest pełno. Albo tak nam się tylko wydaje.

Dawno, dawno temu w pewnym odległym, zamorskim i egzotycznym kraju ludzie dążyli do dobra. Dobro było dla nich jak powietrze – nie wyobrażali sobie życia inaczej, niż tylko czyniąc dobro. Kobiety w tym kraju wstawały rano uśmiechnięte i robiły to, co tylko chciały. Jedne zajmowały się dziećmi, inne pędziły do pracy, jeszcze inne zajmowały się sztuką, sobą albo innymi ludźmi. Podobnie mężczyźni – wstawali rano uśmiechnięci i robili to, co chcieli: zajmowali się sobą, zajmowali się swoją pracą, zajmowali się dziećmi, swoim hobby, zajmowali się innymi. Dzieci, młodzi ludzie, staruszkowie – wszyscy w tym odległym, zamorskim i egzotycznym kraju czuli się dobrze. Nawet imiona, które nadawali swoim dzieciom, miały związek z dobrem: Dobromir, Dobrosław, Dobromira, Dobrosława.

I tak się dobrze żyło ludziom w tym dobrym, odległym, zamorskim i egzotycznym kraju. Jednak pewnego dnia zmieniło się wszystko. Mały chłopiec o imieniu Dobromir bardzo lubił słodycze. Zajadał się nimi od rana do nocy. Ale ponieważ jak wszyscy inni mieszkańcy tego kraju był dobry, zawsze dzielił się swoimi słodyczami z innymi. Lubiał patrzeć na ich uśmiech, kiedy się tymi słodyczami częstowali, cieszył się, że czyni dobro. Pewnego jednak dnia miał większą niż zwykle ochotę na słodycze. Albo słodyczy tego dnia dostał troszkę mniej – tego niestety nie wiemy. Postanowił więc nasz mały Dobromir sam zjeść wszystkie swoje słodycze i jak postanowił, tak zrobił. Nic nie zostało dla innych. A Dobromir z pełnym brzuszkiem tych swoich słodkości poczuł się naprawdę dobrze. Jest mi dobrze – pomyślał. I wcale nie zastanawiam się nad tym, czy innym też jest dobrze. Jakże to dziwne – pomyślał Dobromir, który pierwszy raz w swoim życiu odkrył magiczną moc egoizmu. Szybko podzielił się swoją wiedzą na ten temat z innymi – z Dobrosławem i Dobrosławą, z Dobromirą. – Nie musicie się wcale dzielić z innymi, żeby wam było dobrze – przekonywał. – Nawet jak się nie dzielcie to wam, wam samym jest lepiej. I tak jeden po drugim i jedna po drugiej ludzie w tym odległym, zamorskim i egzotycznym kraju odkryli, że można żyć dla siebie i jest to nawet przyjemne. Kobiety zauważyły, że nie muszą wcale swoich sposobów na urodę, zachowanie młodości przekazywać innym. Wtedy ich własna pozycja wzrasta. Są po prostu ładniejsze i młodsze niż inne. I ich życie staje się przez to łatwiejsze, przyjemniejsze, a one czują się lepiej. LEPIEJ OD INNYCH. Podobnie mężczyźni. Ci odkryli, że nie podzielenie się z innymi swoimi rozwiązaniami, ulepszeniami czyni z nich niekwestionowanych liderów, prawdziwych przywódców. Ich życie staje się przez to łatwiejsze, przyjemniejsze, a oni sami czują się lepiej. CZUJĄ SIĘ LEPIEJ OD INNYCH.

I kiedy już to odkryli, przestali dzielić się dobrem z innymi. Ale za to zaczęli o tym mówić. Zauważyli bowiem, że jak się dużo o czymś mówi, to wcale nie trzeba tego robić. Wystarczy mówić. Można nawet krzyczeć. Czyńcie dobro – krzyczeli. Dobro jest najważniejsze – krzyczeli. Wokół nich było coraz mniej dobra, a coraz więcej egoizmu. Coraz więcej ludzi skupiało się na tym, żeby tylko im było dobrze, żeby BYŁO IM LEPIEJ NIŻ INNYM. I krzyczą tak do dzisiaj. I stale mówią, że trzeba czynić dobro. A jedyne dobro, jakie widzą to swój pełny brzusek (jak nasz łakomczuch Dobromir), swoją lepszą pozycję, swoje większe szanse, przypisywane im zaszczyty i przywileje. Jak te kobiety i mężczyźni z pewnego odległego, zamorskiego i egzotycznego kraju, którzy przeszli od dążenia ku dobru do mówienia, do pouczania, do namawiania do dobra. Czy im się ta sztuczka udało? I czy ta bajka jest naprawdę o tak odległym, zamorskim, egzotycznym kraju? Zgadnijcie same, kochane dzieci.



Bajka o snach, czyli potęga podświadomości

W odległej, pięknej krainie (tak pięknej, że nawet nie można sobie tego wyobrazić) mieszkają sobie sny. Nasze sny. Były tam sny duże i małe, sny kolorowe i sny czarno-białe. Były sny długie jak serial, który ma siedem sezonów i wszyscy dopytują się, czy będzie sezon ósmy, i sny króciutkie, malutkie jak nie przymierzając dobranocka.

Kraina była przepiękna, bo była nieoczywista, bardzo kolorowa, bardzo migocąca, pełna zwierząt i ludzi – tych żyjących, tych dawno umarłych i tych, którzy się jeszcze nawet nie urodzili. Wszystko przecież możliwe jest w snach. W tej krainie działały się przedziwne rzeczy. Przedmioty mówiły ludzkim głosem, przemieszczały się z miejsca na miejsce, ludzie potrafili fruwać, ptaki potrafiły chodzić, zwierzęta zamieniały się w siebie nawzajem i albo wracały do swojej poprzedniej postaci, albo już zostawały kotopsem, łosioptakiem czy innym jeleniojeżem.

Nasze sny bardzo lubiły nam się śnić. Każda noc z nami, każda obecność w naszej sypialni, w naszej głowie to była dla snów wielka, wyczekiwana przygoda. I czy to były piękne sny, dobre sny, sny spełnienia marzeń, czy to były sny koszmary, sny przerażające, takie, z których najbardziej lubimy moment przebudzenia, to sny zawsze chciały, zawsze pragnęły nam się śnić. Jak one potrafiły ze sobą walczyć o naszą uwagę, o naszą noc, o obecność, o to, żeby wypełnić sobą całą przestrzeń naszej podświadomości.

– To ja dzisiaj idę do Tomka, ja idę, nie ty – krzyczał sen o rowerowej wycieczce, o której mały Tomek marzył, a na którą nie mógł pojechać, bo już od dawna choroba trzymała go leżącego w łóżeczku.

– Nieprawda, dzisiaj jest moja kolej – wołał sen o wodzie, o wielkiej, błękitnej wodzie, w której są ludzie i zwierzęta i tak sobie razem pływają i śmieją się, śmieją. – Tylko ja pomogę Tomeczkowi wyzdrowieć, tylko ze mną będzie mu dobrze chociaż w nocy, skoro tak leży i leży osłabiony chorobą.

– Ja chcę się przyśnić Tomusiowi – wołał tymczasem sen, którego bohaterem był ukochany piesek chłopczyka. – Tylko ja, tylko widok ukochanego psa poprawi Tomeczkowi nastrój.

– Skoro się tak spieracie, skoro tak się przekrzykujecie, to najlepiej pójdę ja – spokojnie powiadał senny koszmar. – Tak, dam Tomeczkowi w kość w nocy, tak go zmęcę, tak go przestraszę, że obudzi się z ulgą i w porównaniu ze mną całe to leżenie i cała ta choroba to będzie dla niego pikuś. Mały pikuś.

I w końcu zawsze któryś sen wygrywał. Albo sen jak marzenie, albo sen jak niezwykła przygoda, albo sen jak spotkanie z dawno niewidzianymi osobami, albo sen o tych, których kochamy najbardziej na świecie. Czasami jednak wygrywał sen – koszmar, sen samo zło. I wówczas przebudzenie, a nie śnienie było tym momentem przynoszącym ulgę, spokój i radość. Przebudzenie, a nie sen.

Mieszkały w tej cudownej krainie także sny przepowiednie. Sny przepowiednie to takie sny, które wróżą nam przyszłość. Oto nie wiemy, co zrobić, jaką decyzję podjąć, co będzie dla nas dobre, a co złe. I wtedy na ratunek przychodzi nam sen. Taki sen, który podpowie, który pomoże, który odpowie za nas. To też są ważne sny.

Są w tej krainie też jeszcze inne sny. To wielkie sny. Sny o sile naszych marzeń, sny o sile naszych możliwości. To dzięki nim potrafimy uwierzyć w siebie, w swoje potrzeby, w moc swojej sprawczości. To sny o potędze. O potędze podświadomości, która zamienia się w świadomość, a nawet potrafi poprowadzić nas do celu. Wyleczyć Tomeczka, ukoić ból po stracie, złagodzić tęsknotę za tymi, którzy odeszli, podjąć trudną decyzję o zmianie pracy, o rozstaniu, skoczyć na głęboką wodę niewiarygodnie trudnych zamiarów i celów. Sny o potędze. O potędze podświadomości. Dobranoc.



Zostań ze mną

Bajka o bezradności i przemijaniu

– Zostań ze mną – powiedziała Matka do Synka, dorosłego już Synka, który oznajmił jej, że chce wyprowadzić się z domu. – Zostań ze mną, musisz zostać, nie będę przecież tu sama – powtarzała, trzymając Go mocno za rękę. Ale odsunął tę rękę, tę zatrzymującą go przeszkodę w swoim pędzie do życia, do wolności, do innych ludzi. Do tego wszystkiego, o czym opowiadała Mu przez całe życie, do czego przecież Go szykowała, czego dla Niego chciała i o czym dla Niego marzyła. To już? Syneczku, to już? Już muszę Cię wypuścić, muszę oddać Cię światu i tylko patrzeć, tylko się przyglądać, co w świecie tym się z Tobą dzieje?

Synek był dla Niej wszystkim. Opuszczona przez mężczyznę swego życia, całą miłość i troskę przełała właśnie na Synka. To On był Jej łącznikiem ze światem. To On przyprowadzał do domu tych wszystkich młodych mężczyzn i kobiety, którzy chociaż przez chwilę, chociaż przy krótkim powitaniu czy naprędce wypitej herbatce opowiadali jej o muzyce, o modzie, o polityce, czy o czym tam tylko sobie chcieli. Był jej łącznikiem ze światem, jej serwisem informacyjnym, jej rozrywką, jej opoką, był dla niej wszystkim.

Miała kiedyś jakąś pracę, ale teraz, już na emeryturze nawet wspomnienia tej pracy wyblakły, taka to była nieznacząca, nieważna, błaha praca. Miała też oczywiście jakieś znajome, ale te zajęte były swoimi sprawami – swoimi chorobami, swoimi mężami, swoimi dziećmi, swoimi wnukami. Albo psami czy kotami. Nie miały te znajome za dużo czasu ani za dużo uwagi dla Matki tego Syna. To On miał być tym czasem i tą uwagą – tak Jej się dotąd zdawało.

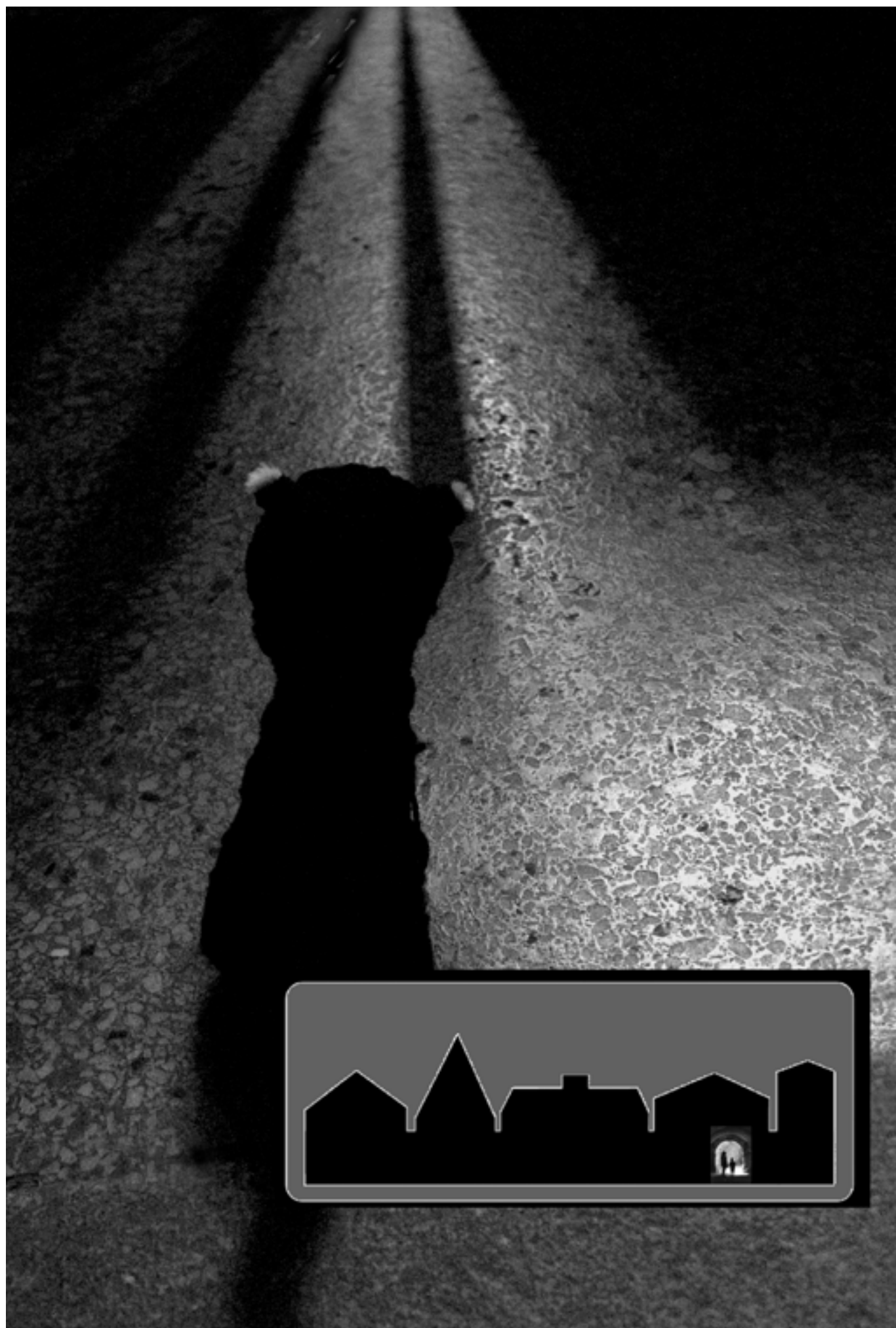
– Zostań ze mną – powtórzyła Matka, patrząc błagalnie na Synka. – Ja nie jestem jeszcze gotowa. Nie jestem gotowa na rozstanie z Tobą i nie jestem gotowa na swoją samotność. Nigdy nie lubiłam samotności – pomyślała Kobieta. Zawsze się jej panicznie bała. Już jako dziecko – jedynaczka – dużo czasu spędzała sama, czekając w domu na pochłoniętych karierą zawodową rodziców. Lgnęła do ludzi, szukała z nimi kontaktów. I miała ich wiele, ale jak to w życiu – ktoś wyjechał, ktoś zapomniał, ktoś zajął się innymi, swoimi sprawami, ktoś odszedł na zawsze...

Lęk przed samotnością odwiedzał Ją często we śnie. Śniło Jej się, że stoi w drzwiach wielkiego, pustego domu i rozgląda się bezradnie wokół, jakby chciała kogoś do tego domu zaprosić. Ale kogo, skoro wokół nie ma żywej duszy? Stoi więc w tych drzwiach i stoi, sama, zawiedziona, ale ciągle czekająca, gotowa otworzyć szerzej drzwi i wpuścić do środka ludzi, miłość, przyjaźń lub choćby tylko zwykłą, ludzką ciekawość. Taką ciekawość drugiego człowieka, jego losu, jego historii.

– Zostań ze mną, nie rób mi tego, nie możesz mi tego zrobić – powtórzyła i sama usłyszała w tych słowach bezgraniczny smutek i bezgraniczną porażkę. Co ja robiłam ze swoim życiem? Jak mogłam całe moje życie, moje szczęście, mój dobrostan uzależnić od jednego Człowieka – od mojego Synka? Przecież Go krzywdzę. Przecież nie mogę tego od Niego wymagać – taka jest kolej rzeczy, na tym polega upływ czasu, na tym polega przemijanie.

I wtedy bezradna, nadal smutna, bezgranicznie smutna, ale tak jakoś pogodzona z tym, co nieuchronne, sama puściła rękę swego Syna, którą tak kurczowo (lub której tak kurczowo) się dotąd trzymała. I Synek wstał, spakował swoje rzeczy i wyprowadził się do swojego życia.

Nadal jest dla Matki całym jej światem. Nadal jest jej łącznikiem ze światem, źródłem informacji, rozrywką, opoką. Ale teraz tylko zapośredniczonym – przez telefon, przez Skypa, przez esemesy. A najczęściej jest dla Niej, dla swojej Matki światem wyobrażonym. Obecny jest w jej pamięci, w jej sercu, we wspomnieniach. To tam mieści się to, co chroni przed smutkiem, przed samotnością, przed przemijaniem. To zostaje z nami na zawsze.



Odpowiedzialność

Bajka o tym, jak słowa zastępują rzeczywistość

Musisz być odpowiedzialna, trzeba być odpowiedzialnym, ludzie muszą być odpowiedzialni – te słowa słyszymy wszyscy od urodzenia, słyszymy je przez całe swoje życie. Odpowiadasz za swoje czyny, pamiętaj o konsekwencjach tego, co robisz, wszystko, każde twoje działanie ma jakieś skutki i to ty ponosisz za nie odpowiedzialność. Znamy te słowa jak mało co, słyszymy je w naszych głowach, płyną do nas od innych, ale też wypowiadamy lub tylko myślimy te słowa sami. Odpowiedzialność. Kim lub czym jest ta Odpowiedzialność? I gdzie można ją spotkać w realnym życiu, gdzie można ją spotkać poza słowami?

Odpowiedzialność jest trudna. Jest tak trudna jak najtrudniejszy egzamin. Odpowiedzialność jest nudna. Jest tak nudna, jak uczenie się do tego najtrudniejszego egzaminu. Odpowiedzialność jest poważna. Jest tak poważna, jak poważne potrafi być nasze życie. I jest w dodatku rozciągnięta w czasie – trwa, trwa, i trwa, i nie chce przestać. Dlatego utrudnieni, znudzeni, przytłoczeni Odpowiedzialnością schowaliśmy ją gdzieś bardzo daleko i bardzo głęboko. Schowaliśmy ją, żeby już nas tak nie trudziła, żeby już nas tak nie nużyła, żeby swoją powagą nie psuła nam dobrego nastroju. Przyjdzie kiedyś na nią czas. Nie uciekniemy od niej. Kiedyś. Nie teraz.

A nasza Odpowiedzialność schowana, ukryta i nawet troszkę zapomniana wcale nie ma się dobrze. Wręcz przeciwnie – ona niknie w oczach. Tak jak wtedy, kiedy ktoś jest niepotrzebny, zbyt trudny do zniesienia, zbyt nudny, żeby z nim wytrzymać, zbyt poważny, żeby chcieć przebywać w jego towarzystwie, nasza Odpowiedzialność marnieje, choruje, usycha po prostu. Nikomu niepotrzebna, męcząca i zbędna, ale przez wszystkich po wielokroć powtarzana, nasza Odpowiedzialność czuje się NIECHCIANA. Czuje się niechciana i czuje się osierocona. I jak każdy, kto czuje się osierocony, kto nie ma na świecie nikogo bliskiego, kto dla nikogo nie jest najważniejszy na świecie (ale tak naprawdę najważniejszy, a nie tylko w słowach i w pustych deklaracjach), nasza Odpowiedzialność robi się coraz bardziej zgryźliwa, zła, zamknięta w sobie. „Ja wam jeszcze pokażę, jeszcze się przekonacie, jaka jestem ważna. Jeszcze sobie o mnie przypomnicie. Uważajcie jednak, bo wtedy może być za późno”.

Niestety nie słyszymy ani tych ostrzeżeń, ani tych gróźb, ani nawet związanej z nimi przestrogi. Nie słyszymy, bo jak mamy usłyszeć głos schowany głęboko, ukryty najgłębiej przez nas samych? Jak mamy usłyszeć głos, którego słyszeć zwyczajnie, po prostu nie chcemy? Bez realnej odpowiedzialności mamy się świetnie. Zupełnie wystarczy nam ta pozorna, ta zaklęta w wielokrotnie powtarzanych słowach o swojej ważności i nieuchronności ODPOWIEDZIALNOŚĆ.

I mamy się z tym świetnie. Czujemy się wolni i jesteśmy wolni. Wolni od Odpowiedzialności. Czujemy się beztroscy i jesteśmy beztroscy. Bez Odpowiedzialności. Możemy robić, co chcemy, i robimy, co chcemy. Bez Odpowiedzialności. Bierzymy nasz los w swoje ręce. Bez Odpowiedzialności. Tak, wiemy, wiemy, słyszeliśmy to już tyle razy. Wszystko ma swoje konsekwencje. Poczekamy, zobaczymy. Jakoś to będzie.

I dopiero wtedy, kiedy naprawdę dopadną nas skutki naszej beztroski, naszej niechęci do wysiłku, do trudu, do zachowania powagi, w obliczu realnej konieczności zmierzenia się z konsekwencjami własnych działań, własnych zachowań, podnosimy krzyk, płacz i lament. „Jak trwoga, to do Boga” mówi popularne u nas przysłowie. Jednak nie zawsze się sprawdza, nie zawsze pomaga. Ukryta, obrażona, zaniedbywana dotąd przez nas Odpowiedzialność pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Im bardziej niechciana, im bardziej pogardzana, tym bardziej chce być dotkliwa, zauważona, bolesna nawet. I wtedy w całej rozciągłości pokazuje nam ta męcząca Odpowiedzialność, że nie zawsze wystarczą słowa, że słowa nie zastąpią czynów, działań, nie zastąpią prawdziwej, realnej Odpowiedzialności.



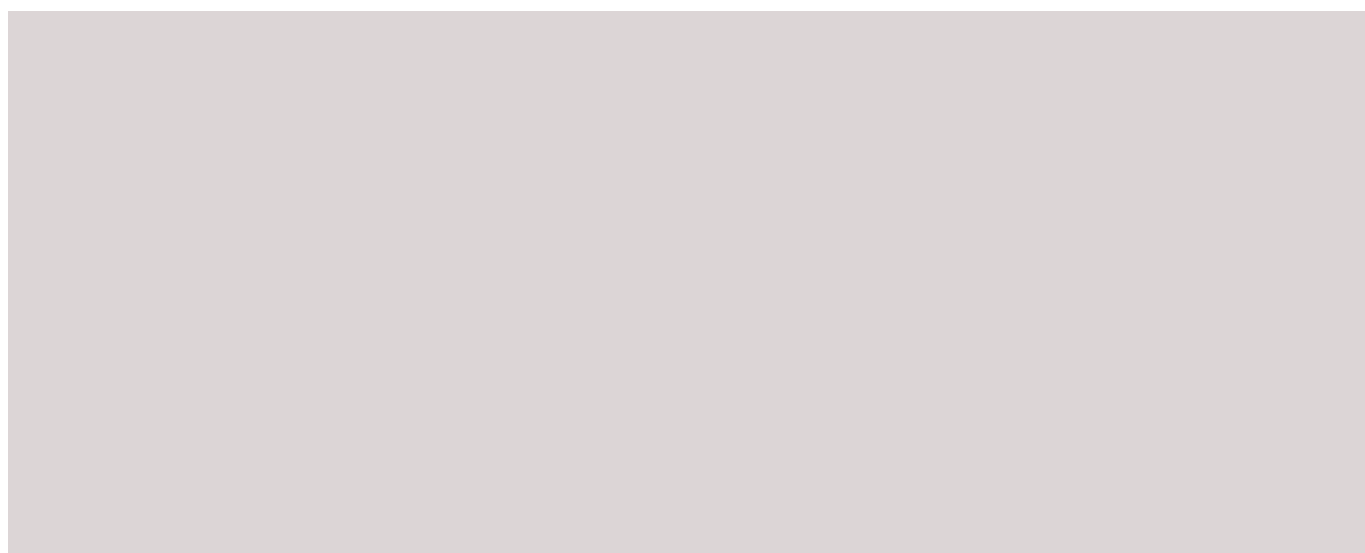
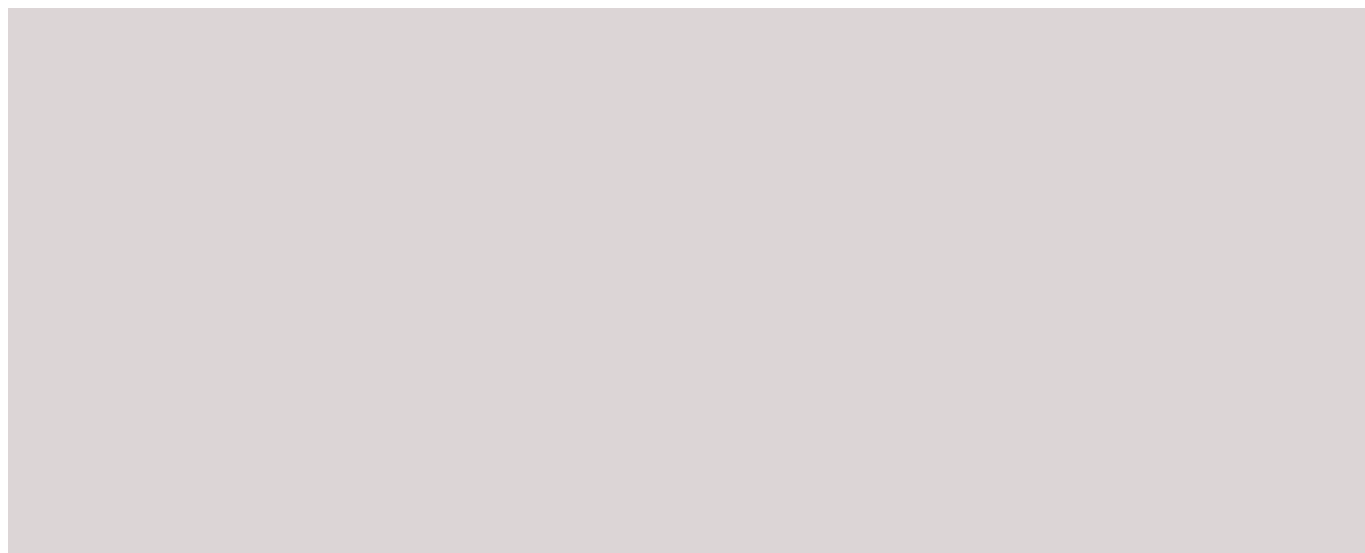
Bajka o złu, czyli dlaczego zwykły Piotruś stał się Czarnym Piotrusiem

Dawno, dawno temu, a może zupełnie niedawno, za górami, za lasami, a może całkiem blisko mieszkał sobie ze swoimi rodzicami malutki Chłopiec. Na imię miał Piotruś. I to imię to było pierwsze coś, co mu się w tym życiu i na tym świecie bardzo nie podobało. Czemu Piotruś, po co Piotruś, myślał sobie Chłopiec i strasznie się przy tym złościł. Złoszczenie się to była cała Jego natura, Jego Osobowość, Jego Image, można powiedzieć. Piotruś złościł się od rana do samego wieczora. Złościł się, kiedy miał coś zjeść, i złościł się, gdy był głodny. Złościł się, kiedy mama lub tato chcieli się z nim bawić, spędzać z nim czas, i wtedy, kiedy był sam. Złościł się, będąc z kolegami, nawet biegając po podwórku też się złościł i krzyczał wniebogłosy, co tylko przyszło Mu do głowy. Piotruś nie potrafił się nie złościć. To uczucie nieznosnej irytacji nie opuszczało Go nigdy.

Z tego właśnie powodu Piotruś miał same kłopoty. – Nie jesteś dobrym dzieckiem – mówiła do Niego Mama. – Jesteś po prostu złym Chłopcem – mawiał Ojciec i czasami sięgał nawet po pas (a przecież wiadomo, że dzieci nie wolno bić, tak jak nikogo nie wolno bić). Nie lubili Piotrusia koledzy, nie lubili Go nauczyciele, unikali jak ognia Go sąsiedzi. A Piotruś szlifował swoje zło, ulepszał je i udoskonalął. Każdego dnia miał nowy pomysł na psotę, na dokuczenie innym. Codziennie miał pomysł na nowe Zło. Skoro nie mogę być dobry, skoro i tak nikt mnie nie lubi, to przynajmniej będę perfekcyjnie zły, myślał. I był, faktycznie był. Doszedł w czynieniu zła do takiej perfekcji, że wszyscy wokół zaczęli nazywać Go CZARNYM PIOTRUSIEM.

I tak się toczyło ich życie. Można powiedzieć, że toczyło się utartym szlakiem. Po jednej stronie ci dobrzy (a może tylko tacy jak wszyscy, podobni do innych), a po drugiej stronie On – zły, niepodobny do nikogo Czarny Piotruś. I byłoby tak pewnie do dziś, gdyby nie pewne zdarzenie. I jak to w życiu (a może jak to w bajkach), za tymi górami (a może całkiem blisko) pojawił się PEWIEN MĘŻCZYŻNA. Mówili o Nim, że to filozof. Mówili nawet, że to Mędrzec. I przyglądali Mu się nieufnie, ze zdziwieniem, a czasami nawet z pewną trwogą. PEWIEN MĘŻCZYŻNA trzymał się na uboczu. Czasami zapytany, czy zagadnięty przez któregoś z tych dobrych (a może tylko takich jak wszyscy, podobnych do innych ludzi), krótko odpowiadał. Robił to zawsze w sposób niezwykle, głęboki, taki dający do myślenia. Tak, PEWIEN PAN był inny niż wszyscy.

I kiedy PEWIEN PAN spotkał Czarnego Piotrusia (a było to nieprzyjemne spotkanie, bo nasz zły Chłopiec oczywiście przygotował na to spotkanie jedną ze swoich psót), stała się rzecz nieoczekiwana. Pewien Pan roześmiał się, zamiast się rozgniewać, przystanął na chwilę i naprawdę, szczerze zainteresował się Chłopcem. – Jak ty wymyślasz te psoty? Skąd one przychodzą Ci do głowy? Czemu to robisz? – zasypał nasz PEWIEN PAN pytaniami złego Chłopca. Zdziwił się Piotruś Pan. To kogoś obchodzi, co ja myślę, co czuję, dlaczego coś robię? Kogoś obchodzę ja – ten zły Chłopiec, Czarnym Piotrusiem zwany? Tak zaczęła się ta ich znajomość. Od tego momentu stali się nierozłączni. PEWIEN PAN i Czarny Piotruś. Obaj inni, obaj budzący zdziwienie, nawet trwogę, stali się sobie bliscy, coraz bliżsi, a w końcu najbliżsi na świecie. I tak im ta bliskość zrobiła, że towarzysząca przez całe życie irytacja zaczęła powoli Czarnego Piotrusia opuszczać, ochota na psoty zaczęła maleć, aż w końcu całkiem znikła, a gniew i złość zastąpiły ciekawość świata i dociekliwość. Życie czarnego Piotrusia wypełniały teraz rozmowy o świecie, które prowadził z PEWNYM PANEM. Tak. ŚWIATU POTRZEBNI SĄ FILOZOFOWIE. ŚWIATU POTRZEBNI SA INNI. To oni pokazują nam ten świat, a czasem nawet pomagają nam się zmienić czy sami stają się zmianą. To dzięki Innym wśród nas, dzięki SPOTKANIU Z INNYMI łatwiej jest nam dostrzec zło, zrozumieć zło, a czasem nawet łatwiej jest nam się zmienić. I to zmienić się na lepsze.



Los kobiety, czyli bajka o zmianie

Kobieta musi nieść przez życie swój krzyż. To jest los kobiety – słyszą wszystkie istoty płci żeńskiej w pewnym odległym i nieco dziwnym kraju. Tak działa Natura. Tak było, jest i będzie. Te słowa wypowiadają babki, matki, ciotki, kuzynki, koleżanki. Brzmiały jak mantra, brzmiały jak wyrok, brzmiały jak przeznaczenie. I te wszystkie kobiety w tym odległym i nieco dziwnym kraju wierzą w te słowa, pokornie je znoszą, tak, jak pokornie próbują znosić swój los.

A los kobiety ma się tam świetnie. Siedzi sobie na przykład ukryty w kuchennych szafkach, z których wyskakuje zawsze wtedy, gdy trzeba coś w nich poustawiać, coś posprzątać. Los kobiety lubi też posiedzieć w lodówce. Wyskakuje stamtąd zawsze, zawsze znajdzie się ktoś głodny. I już kobieta wie, już rozumie – czas zabrać się do pracy i gotować, gotować, gotować. Los kobiety lubi też łazienkę. Ta to dopiero się brudzi! Można w zasadzie sprzątać ją „na okrągło”, można z tego sprzątania zrobić takie modne dzisiaj działanie „w pętli”.

Los kobiety chowa się także obok stojącej, obecnej w każdym niemal domu, w którym mieszka kobieta, wagi. Bo losem kobiety w tym odległym i nieco dziwnym kraju jest być szczupłą. Kobieta musi być szczupła. Wtedy się podoba. Wtedy miło się na nią patrzy. A co to za kobieta, na którą niemiło się patrzy? Co to za kobieta, która nie wywołuje uśmiechu na twarzy mężczyzny, a zazdrości w sercach innych kobiet? Wybrakowana, niepełna, nie taka jak trzeba. Los kobiety mieszka także obok lustra. Każdego lustra, jakie znajduje się w domu kobiety. „Obecny”, woła zawsze, kiedy tylko kobieta spojrzy na swoje odbicie. Obecny i strasznie krytyczny. Taki nawet samokrytyczny. Jaka ja jestem już stara, jaka ja jestem już brzydka, co się ze mną stało, mój Boże – myśli sobie kobieta, patrząc na swoje odbicie w tym lustrze. A to nie siebie w nim widzi – widzi w nim los kobiety. Taki z niego spryciarz, taki cwaniak i władca absolutny.

Siedzi sobie ten los kobiety także zawsze obok jej mężczyzny. Czy ten mężczyzna krzyczy, czy ma pretensje, czy zawodzi, nie dotrzymuje słowa, czy kłamie, a nawet wtedy, gdy bije, los kobiety każe jej pokornie znosić to, co mężczyzna z nią, dla niej, czy jej robi. Kobieta to rozumie, kobieta to wie, kobieta na to pozwala, kobieta niesie ten swój krzyż, tak jak robiła to jej babka, jej matka, jak robią to (choć się do tego nie przyznają) jej koleżanki.

Są jednak w tym odległym i nieco dziwnym kraju takie miejsca, gdzie los kobiety ma się dużo gorzej. A krzyż, który kobieta powinna nieść na swoich barkach, leży gdzieś w kącie zapomniany, zakurzony, nikomu niepotrzebny. Tam mieszkają odważne kobiety, kobiety wyzwolone. I wcale nie są to tylko najmłodsze z nich – są tam też całkiem stare kobiety, średnio stare kobiety (one nie obrażają się na słowo „stare”, one rozumieją i akceptują przemijanie i wszystko, co się z nim wiąże), są kobiety w średnim wieku i całkiem młode, które dopiero uczą się być kobietami. Te kobiety wzięły swój los w swoje ręce. Trzymają go w garści, trzymają tak mocno, że nawet mała mysz się tam nie przecisnie. Te kobiety same decydują, czy chcą i czy lubią sprzątać, czy chcą i czy lubią gotować, czy chcą i czy lubią opiekować się innymi, czy chcą i czy lubią dążyć bezustannie do jakiegoś narzuconego im wzorca piękna, czy chcą i czy mogą znosić to, w jaki sposób są traktowane przez bliskiego ich sercu mężczyznę. Losem tych kobiet jest ich własny wybór. Losem tych kobiet jest ZMIANA. I nie ma w tym nic złego. Wszakże nikt na całym wielkim świecie nie marzy o tym, żeby na własnych plecach nieść krzyż. Ciężki, bolesny krzyż. Nazywany w tym odległym i nieco dziwnym kraju LOSEM KOBIETY.



Rynek marzeń, czyli wszystko jest na sprzedaż

Wyobrażacie sobie świat bez marzeń? Bez nierealnych nawet zamiarów, planów, zamierzeń? Bez mrzonek? Jaki nudny i smutny byłby to świat. Taki całkiem płaski byłby to świat.

Na świecie są marzenia. Są i mieszkają sobie wszędzie. Mogą pojawić się gdzieś znienacka, mogą też zadomowić się gdzieś na dłużej, albo w ogóle mogą gdzieś przynależeć, być gdzieś od zawsze. Są różne – duże i małe, i takie całkiem wielkie, niewyobrażalnie wielkie. Marzenia są kolorowe. Migocą barwami, kuszą, namawiają, mówiąc: weź mnie, weź mnie, weź mnie.

I ludzie biorą te marzenia. Biorą jak swoje. Można nawet powiedzieć, że jest popyt na marzenia i jest podaż marzeń. Są też oczywiście mody, rankingi i celebryci marzeń.

W naszym dziwnym świecie, w którym wszystko (nie tylko marzenia) jest na sprzedaż, wśród marzeń królują przedmioty. Samochody, komórki, laptopy, domy, meble, lampy, zegarki, buty, torebki, i wiele, bardzo, bardzo wiele przedmiotów, których nie sposób wymienić. Każdy z nich może być obiektem marzeń. I każdy z nich może być spełnieniem marzeń. Może zapewnić tę chwilę szczęścia, niezwykle poczucie spełnienia wtedy, kiedy spełniają się nasze marzenia. Zawsze radosne, zawsze pewne, że ktoś po nie sięgnie, że ktoś je zechce, że ktoś o nich zamarzy. Przedmioty marzeń.

Obok przedmiotów wśród naszych marzeń są także podróże. Najlepiej te najdalsze, do egzotycznych krajów, odległych kultur, nieznanych lądów. Jednak nie same podróże, zwiedzanie, doświadczanie inności, otwieranie się na tę inność stanowią o sile tych marzeń. Marzeń o podróżach. Muszą towarzyszyć im zdjęcia. Nasze zdjęcia. Ja na tle wieży Eiffla, ja na tle egipskich piramid, ja na tle pałacu Buckingham – to prawdziwy cel naszych podróży. Bez tego nie miałyby sensu. Po co nam coś, o czym nikt inny się nie dowie? Po co ten cały wysiłek, trud podróży, to całe nasze zmęczenie? Dla siebie – tylko dla siebie – no nie, naprawdę NIE.

Są też marzenia o władzy i o bogactwie. Co to jest ta władza i to bogactwo? To zdaniem tych, którzy właśnie o nich marzą, jest klucz do szczęścia. Klucz, który otwiera wszystkie drzwi na drodze, na której jest napis Szczęśliwe, Udań Życie. Bogactwo i władza równa się Udań Życie – mówią nam ci, którzy od najmłodszych już lat popychają nas do przodu, a nawet popychają nas do góry. Musisz być lepsza, musisz być lepszy, musisz przejąć kontrolę, musisz w życiu „do czegoś dojść”.

I tak sobie te nasze marzenia o przedmiotach, o tych wszystkich modnych gadżetach, o dalekich podróżach, o bogactwie i władzy żyją wśród nas, nawet panoszą się wśród nas hałaśliwe, nachalne, stale gotowe do uwodzenia, do walki o naszą uwagę, nasz rozum i nasze serce. Obrastają w piórka, puchną z dumy i przez to stają się leniwe, a nawet niezdolne do działania. I coraz częściej rozczarowują. Po co mi to wszystko? – pyta ten, kto już wszystko sobie kupił, kto już wszystko ma. Po co mi to było? – pyta ten, kto wrócił z dalekiego kraju, w którym się śmiertelnie nudził, niczego nie rozumiał i jeszcze było mu za gorąco. Po co mi ta władza i te pieniądze, skoro nadal jestem sam, nikomu nie ufam, bo każdy pewnie czyha na tę moją pozycję i to moje bogactwo?

To są marzenia rynkowe. Marzenia na sprzedaż. Ale tuż obok, tuż-tuż siedzą sobie, cichutko i skromnie, całkiem inne marzenia. Mniej kolorowe, mniej celebryckie, mniej hałaśliwe. No i dużo trudniejsze do spełnienia. To marzenia o dobrym życiu. To marzenia o sensownym życiu. O życiu, któremu sens nadaje coś większego niż samochód, wycieczka do Afryki czy pokazny stan konta. To marzenia o znalezieniu w życiu pasji i o realizowaniu tej pasji. Dla siebie i innych. Nie POKAZYWANIU INNYM, TYLKO BYCIU DLA INNYCH. To są dopiero fajne marzenia. I nadal są, nadal można je spotkać, nadal można je dla siebie odnaleźć. MARZENIA DO SPEŁNIENIA.



Miłość niejedno ma imię

– Kocham Cię – wyszeptała z trudem Kobieta do swojego nowo narodzonego dziecka, które właśnie wzięła w objęcia z rąk uśmiechniętej położnej.

– Ma pani zdrową, piękna Córeczkę – powiedziała położna.

– Kocham Cię – wyszeptała ponownie Kobieta i ucałowała pierwszy raz w życiu główkę swojej malutkiej Córeczki. I poczuła ten zapach – zapach niemowlaka połączony z zapachem miłości. – Kocham Cię – powiedziała już głośniej, pewniej, radośniej. Była to oczywiście najprawdziwsza prawda. Miłość Matki jest bowiem bezgraniczna, bezwarunkowa, tak wielka, jak wielki jest świat. Miłość Matki to kosmos, to wszechświat, to wsparcie, poświęcenie, oddanie. Miłość Matki.

– Kocham Cię – wyszeptała z trudem Staruszka i nawet leciutko się uśmiechnęła. Uśmiechnęła się do swojego ukochanego Wnuczka, który mimo że taki młody, taki przystojny, taki popularny i rozchwytywany znalazł czas dla Niej – dla swojej Babci – i teraz siedzi na brzegu Jej szpitalnego łóżka, gdzie wylądowała w ostatnim już etapie swojego życia.

– Kocham Cię, mój Ty piękny – wyszeptała ponownie z wdzięcznością za Jego troskę, za Jego czas, za Jego obecność. Mógłby przecież zapomnieć, mógłby być zajęty, mógłby (jak teraz oni wszyscy – ci młodzi) zajmować się swoim życiem, swoimi sprawami. Ma do tego prawo – pomyślała Staruszka. A jednak jest tutaj, jest ze mną, siedzi i trzyma mnie za rękę. Jak kiedyś ja – kiedy był mały, kiedy się bał, kiedy stłukł sobie kolana. Miłość Babci.

– Kocham Cię, jak ja bardzo Cię kocham – powiedziała do siebie młoda Dziewczyna, patrząc na oddalającą się sylwetkę swojego Chłopaka, z którym spędziła właśnie cały dzień i z którym w końcu musiała się pożegnać. To jego oddalanie się sprawiało Jej ból. Prawdziwy, fizyczny ból. Jakby zniknął, a przecież wiedziała, że zaraz do siebie zadzwonią, że będą wysyłać do siebie setki esemsów, obrazków, zdjęć. Ale to fizyczne oddalanie się było nieznośne wobec potrzeby bezustannej obecności, ciągłej bliskości, które towarzyszą miłości. Tej Pierwszej Miłości. Bo ten Chłopak to była Pierwsza Miłość Dziewczyny. Ta najprawdziwsza, tak mocna jak skała, tak nagła jak burza z piorunami, tak niezwykła jak zapach wiosny, jak tęcza po burzy, jak zachwyt nad życiem i światem. Pierwsza Miłość.

– Kocham Cię – pomyślała Kobieta i głęboko westchnęła. Westchnęła, bo kolejny raz potknęła się o rzucone niedbale buty swojego mężczyzny (dlaczego oni nie potrafią zapamiętać tak prostej rzeczy, jak odstawianie butów na miejsce, przecież „ogarniają” cały świat, a tu taki drobiazg). Kocham Cię – po trzydziestu latach wspólnego życia, po tych wszystkich upadkach i wzlotach, kłótniach i czasach sielanki, po doświadczeniach nużącej codzienności, która potrafi zniszczyć każdego i wszystko, te pomyślane, szczerze słowa wydały się Jej w jakiś sposób wyjątkowe. Ileż przecież par z tak długim (a nawet nieco krótszym) stażem albo nie daje już rady ze sobą wytrzymać, albo tkwi w jakimś nieznośnym dla nikogo, a jednak pozornie bezpiecznym kompromisie udającym związek? Miłość Małżeńska, Miłość w Związku.

Jak ja Ją kocham, nie potrafię przestać Jej kochać – pomyślał młody Mężczyzna, którego kilka miesięcy temu rzuciła Dziewczyna. I na nic rady kolegów, którzy jak mantrę powtarzali: „Stary, zapomnisz, czas leczy rany, stary, pół świata tego kwiatu”. Ani zapomnieć nie potrafił, ani spojrzeć nawet na inną dziewczynę nie chciał ten młody, porzucony Mężczyzna. Stałe myślał o swojej Dziewczynie, ciągle coś Mu ją przypominało – czyjś śmiech na ulicy (Boże, Ona śmiała się tak samo), jakieś szybko wypowiedziane „cześć” (Boże, Ona zawsze tak szybko mówiła), zapach czyichś perfum (Boże, ona tak samo pachniała). Uwięziony w pułapce własnej pamięci, zamknięty we własnej rozpacz Młody Mężczyzna nie potrafił się otrząsnąć. To Miłość Nieszczęśliwa.

Wszystkie te miłości łączy jedno – warto dla nich żyć. Warto żyć dla miłości. Jakakolwiek by ona była – ta Miłość.

Tort z orzechów i ołówka - kłój Jana. 3544.

3544
12 1/2 funtów cukru do białoski z 1/2 funta cukru
1/2 funta orzechów włoskich mielonych na mierzynce. 500g. biał.
Kie. Łasiej: pianę z 12 białkami, wymieszać mierzynką i wacem
podzielić na dwie części: upiec w dwóch tortownicach, wys-
marować je masłem i wysypać bułką. Gdy płatki po-
stygną przełożyć je następującą masą:

1/2 funta nierobionego masła 1/2 f. młotkiego cukru
500g migdałów, sparanych, obranych z łupki i usiekanych
pół tyśerek mocznej słodkiej kawy i 2 żółtka. Trzyna to wy-
sko dobrze, bo na słodkiej kawie całkiem dobrze masę. Tę masę
posmarować tort, drugim przykryć, udekorować i wyciąć
i schłodzić w lodzie. Tort przekładać na drugi dzień po
upieczeniu. Lukier rekładowy: 500g cukru, 4 tabliczki czek-
olady, 100g drożdżowego masła, 1/16 litra mleka.

Rekładowy lukier: Tę masę gotować w kotle na
ogrodzie tylko z dobrej rekłady, z gorszych gatunków koki-
lukier słodkiej i her polypku. Lukier zagotować w kotle na
ogrodzie rekłady, i rozłożyć na bieżąco wgnieść
i zagotować je w kotle. Dobro utrzeć w misce masło do

Obecność

Bajka o tym, co nigdy nie przemija

W bardzo pięknym miejscu stał ten dom. Z jednej strony otoczony łąką przechodzącą w las, z drugiej strony otwierający się na śliczne, turkusowe jezioro. Od strony leżącego opodal Wielkiego Miasta do tego domu prowadziła droga tyleż malownicza, co wyboista. Ale cóż to jest kilka nierówności wobec zachwyty, jaki towarzyszył każdemu, kto do tego domu zajechał. W tym pięknym domu mieszkała sobie zwykła rodzina. Taka, która przychodzi nam zawsze na myśl, kiedy mówimy słowo „rodzina”. Była więc mama, był tata, była dwójka dzieci (dziewczynka i chłopiec) i była babcia. Wszyscy byli w porządku, ale babcia! Babcia to było marzenie. Marzenie każdego z nas (choć wielu przecież ma lub miało taką babcię). Babcia miała zawsze czas. Posłuchać, porozmawiać, przytulić, opowiedzieć jakąś ciekawą historię, otrzeć łzy, złagodzić ból czy strach. Obok babci zawsze, ale to zawsze pojawiał się jej kot. Duży i miękki, wyglądał jak pluszowa zabawka i tak był przez wszystkich członków tej rodziny traktowany. Mruczenie kota i łagodny, ciepły głos babci to był w zasadzie jeden i ten sam dźwięk – miły, kojący, wskazujący na to, że wróciliśmy do domu, że każdy jest w nim u siebie.

Babci gotowanie było jak marzenie. Te wszystkie pierożki, bułeczki, maślaneczki, chałeczeki, kruche ciasteczka, najlepsze zupki, mięciutkie, soczyste kotleciki!!! To była prawdziwa poezja. Babcia gotowała genialnie na co dzień, ale co potrafiła wyczarować od święta! Nikt nigdzie nie jadł takich tortów, takich pieczeń, takich zapiekaneek jak u tej cudownej babci.

I tak czas tej rodziny, odmierzany codziennością i odświętnością, toczył się pod wodzą babci, która nad wszystkim zawsze czuwała. A obok niej, zawsze z nią mruczący, duży kot.

Ale jak to w życiu bywa (a ta bajka jest przecież o życiu), pewnego dnia babcia umarła. Nikt w tej rodzinie nie był na to gotowy, nikt nie był w żaden sposób na to przygotowany. I nagle w tej rodzinie, w tym pięknym domu pojawiła się PUSTKA. WIELKA PUSTKA. Nie było do kogo przybiec z kłopotami, z płaczem, ze smutkiem. Zabrakło kogoś, kto zawsze ma czas, uważność, dobre słowo. Nawet kot pogrążył się w smutku tak wielkim, że przestał mruczeć i przestał jeść. A skoro przestał jeść, to szybko stał się małym, chudym, smutnym kotkiem, który nie przypominał już miękkiego pluszaka, tylko jakieś wielkie, naprawdę wielkie nieszczęście.

Wszyscy w tej rodzinie (mama, tata, dziewczynka i chłopiec) starali się jak mogli jakoś normalnie żyć. Ale stale, na każdym kroku, w każdej sekundzie doskwierał im Brak. Brak babci. Jej głosu, jej dobrego serca, jej troski o innych. Także jej gotowania. Pustka i Brak stały się codziennością tej rodziny.

Aż do dnia, w którym podczas kuchennych porządków dzieci znalazły w szafie ogromną babciną książkę z przepisami. Cóż to była za książka. Nie dość, że babcia zapisywała w niej wszystko, co gotowała i piekła, to jeszcze przy każdej potrawie zamieszczała komentarz, kto lubi ją najbardziej i o czym przy jej przygotowywaniu nie wolno zapomnieć (truskawki muszą być świeże – z wczorajszych się nie uda, mąka tylko od naszego młynarza, jajeczka z wolnego chowu). Na kartkach tej książki znaleźć można było odciski paluszek dzieci, które „pomagały” babci w tym gotowaniu, jakieś robione ich rączką rysunki, którymi umilały sobie czas podczas tych zajęć, jakieś śmieszne wierszyki, które wtedy układały dla niej, o niej, o sobie. I stało się coś niesamowitego. Wszyscy, naprawdę wszyscy poczuli babci OBECNOŚĆ. Poczuli, że babcia jest z nimi, jest w tej książce z przepisami, w tych odciskniętych paluszkach, rysunkach, śmiesznych wierszykach. Nawet mały, chudy, smutny kot wyszedł z kąta, zwabiony zapachami przygotowywanych według przepisów z babcinej książki potraw.

I tak w tym pięknym, cudnie położonym domu wszystko wróciło do normy. Wraz z powrotem babci. Wraz z powrotem OBECNOŚCI babci. Bo czyż nie najważniejsza jest właśnie obecność? Ta rzeczywista, ta wyobrażona, ta zapamiętana? Po prostu OBECNOŚĆ.



Męskie Ego, czyli bajka o stracie

„Czy to bajka, czy nie bajka, myślcie sobie, jak tam chcecie, a ja przecież wam powiadam – męskie Ego jest na świecie”. Wszędzie, na całym świecie, a nie w jakimś jednym, odległym kraju żyje sobie męskie Ego. Żyje sobie ono znakomicie, ma się świetnie, można nawet powiedzieć, że się panoszy, że się w tym świecie rozpycha. Męskie Ego rządzi światem (a przynajmniej tak Mu się wydaje).

Męskie Ego towarzyszy każdemu mężczyźnie zawsze, w każdej chwili jego życia. Idzie z nim, za nim, obok niego lub przy nim. Jest tak blisko, tak nierozzerwalnie ze swoim mężczyzną związane, że czasami nawet staje się nim, staje się tym mężczyzną. Męskie Ego towarzyszy mężczyźnie w pracy – jest z nim na zebraniu, na naradzie, w drodze, za kierownicą. Każe ścigać się z innymi, każe wyprzedzać innych, każe być zawsze i wszędzie na topie, każe być „the best”. Jest z mężczyzną na meczu wtedy, kiedy on sam jest zawodnikiem i gra w jakiejś drużynie i to właśnie Ego nie pozwala mu podać piłki koledze, który z pewnością strzeli bramkę, zdobędzie punkty. Co z tego, że drużyna przegra. Wygra Męskie Ego. Jest z mężczyzną na meczu, na zawodach sportowych wtedy, kiedy jest on tylko kibicem. Nie daj Boże kibicować wtedy komuś innemu – Męskie Ego wykończy każdego, kto założy inne barwy klubowe. Męskie Ego nie zna kompromisu, nie rozumie, czym jest tolerancja, Męskie Ego widzi świat z jednej perspektywy – z perspektywy swojego mężczyzny.

Męskie Ego zasłania swojemu mężczyźnie świat. Dosłownie go zasłania. Nie pozwala ani dostrzec, ani zrozumieć tego, co inne, co cudze, co przynależy do kogoś, kto nie jest tym mężczyzną. Męskie Ego czyni z mężczyzny ślepcę. Ślepcę, który nie widzi potrzeb innych ludzi, kiedy te nie są tożsame, identyczne z własnymi potrzebami, ślepcę, który nie widzi, że ktoś obok potrzebuje pomocy, jeśli ta pomoc w jakimkolwiek stopniu przeszkadza mężczyźnie w realizacji własnych celów, lub nawet wtedy, kiedy tylko nieco go irytuje. Męskie Ego nie lubi bowiem słabości. Przekonane o swojej wyjątkowej sile, która czyni go niepokonanym, nie zna litości – każdy powinien radzić sobie w życiu tak jak Męskie Ego. Bezkompromisowe, władcze, zapatrzone w siebie.

I właśnie to zapatrzenie w siebie, ta niezdolność widzenia tego, co znajduje się poza kręgiem potrzeb mężczyzny, ta specyficzna, męska ślepota, zawiniona przez zadufane w sobie Męskie Ego, prowadzi tak wielu mężczyzn do zguby. Ileż złamanych karier (życiowych, zawodowych, politycznych, artystycznych) ma swoją przyczynę w tej ślepcie, w tym przysłanianiu mężczyźnie pola widzenia? Ileż rozbitych małżeństw, nieszczęśliwych miłości, nieudanych związków ma na swoim koncie to Męskie Ego, które oślepia, ogłusza, sprowadza mężczyzn na manowce zabójczego egoizmu?

Męskie Ego czyni spustoszenie. Czyni je w świecie mężczyzny. Oślepiiony, czasami zaślepiony, nie potrafi, nie może on dostrzec przyczyn swoich kłopotów – zawsze oskarża o nie innych. To inni są winni – porażek, problemów, niepowodzeń, a nawet klęski. Męskie Ego prowadzi do straty. Do straty wszystkiego, co w życiu jest najważniejsze. Na szczęście są na świecie też kobiety. I one, ze swoją trenowaną, wypracowaną przez lata życia w cieniu Męskiego Ego przenikliwością potrafią podać rękę mężczyźnie, którego Męskie Ego zaprowadziło na zupełne życiowe manowce. I czasami, w zderzeniu (to słowo jest tutaj jak najbardziej na miejscu) z kobietą wrażliwością, z kobietą (trenowaną latami) cierpliwością, z kobietą (trenowaną latami) zdolnością do poświęceń i rezygnacji z siebie, Męskie Ego odpuszcza. Łagodnieje, usuwa się na drugi plan, daje swojemu mężczyźnie odetchnąć. Odetchnąć pełną piersią. I wtedy okazuje się, że mężczyźni są fajni. Tak po ludzku fajni. Życzliwi, pomocni, troskliwi, otwarci na innych. I wtedy mężczyźni już nic nie tracą. Traci tylko ich Ego. Męskie Ego.



Zwykła ludzka przyzwoitość

Była sobie wśród nas, żyła sobie wśród nas. Zwykła ludzka przyzwoitość. Była tak zwykła, tak pospolita nawet, tak nierzucająca się w oczy, niczym niewyróżniająca, że aż została przez nas zapomniana. Ot taka sobie Zwykła ludzka przyzwoitość. Siedziała sobie w swoim malutkim i zwykłym domku na skraju małego miasteczka (w małych miasteczkach szczególnie ważna jest Zwykła ludzka przyzwoitość – przynajmniej tak się mieszkającym w nich ludziom zdaje) i dni mijały jej jeden za drugim, zwyczajne, podobne do siebie, niczym nie zakłócone, niczym nie przerywane. Siedziała i czekała. Może będę komuś potrzebna, może ktoś sobie o mnie przypomni – myślała nasza Zwykła ludzka przyzwoitość. Może nawet mnie do siebie zawoła, może będzie potrzebował mojej pomocy, jakiegoś mojego świadectwa? Może ktoś będzie chciał, żeby inni zobaczyli, że jest człowiekiem przyzwoitym?

Płonne to były nadzieje, próżne to były marzenia. W świecie blichtru, w świecie glamour, zwykła ludzka przyzwoitość niedobrze się komponuje. A tutaj wszystko musi się ze wszystkim dobrze komponować. Przebojowość z desperacją i siłą, energia z niesłabnącą wiarą w sukces i potrzebą tego sukcesu, wyjątkowość z oryginalnością. Krótko mówiąc, w tym naszym świecie wszystko powinno być NIEZWYKŁE. Jak więc można, powiedzcie, proszę, sami, pogodzić to, co niezwykle, ze Zwykłą ludzką przyzwoitością? Jak można w ogóle zgodzić się w tym pięknym, obiecującym nam – zasługującym na to, co najlepsze – świecie na coś, co już w swojej nazwie ma słowo Zwykła? Prawda, że nie można? Prawda, że to jest po prostu niewykonalne? Nie tylko źle się komponuje. Nie tylko niepotrzebnie przywodzi nam na myśl jakąś nie naszą, szarą, niewiele wartą rzeczywistość ludzi przegranych. Zwykła ludzka przyzwoitość obraża naszą przynależność do nowoczesnego świata. Taka jakaś archaiczna, taka jakaś staroświecka, zamyka nas w niechcianej przeszłości. Jest jak znoszona przez lata kurtka, jak niemodny płaszcz lub torebka, która może kiedyś robiła jeszcze na kimś wrażenie, ale dzisiaj już nie.

Siedziała sobie nasza Zwykła ludzka przyzwoitość w swoim małym, zwykłym domku na skraju małego miasteczka i strasznie się nudziła. Nudziła się i smuciła. Dlaczego ja muszę być taka Zwykła, dlaczego muszę być taka przyzwoita? Skoro nikt mnie już nie chce, nikt mnie nie potrzebuje, to może i ja się zmienię w kogoś innego, w kogoś naprawdę niezwykłego?

I skorzystała nasza Zwykła ludzka przyzwoitość z pierwszej nadarzającej się okazji i dokonała swoistej (tak modnej, tak pożądanej w naszym świecie) metamorfozy. Ze Zwykłej ludzkiej przyzwoitości stała się Niezwykłym, wyjątkowym wprost ludzkim draństwem. I nagle odmieniło się Jej życie. Każdy chciał poznać Niezwykłe, wyjątkowe wprost ludzkie draństwo. Każdy go potrzebował, każdy o nie zabiegał, każdy o nie prosił. Niezwykłe, wyjątkowe wprost ludzkie draństwo miało się więc świetnie. W domach, w sypialniach, w urzędach i na salonach, w świecie polityki i mediów, w świecie nauki i edukacji, w całym tym naszym zwariowanym, szalonym świecie rosło i rosło zapotrzebowanie na Niezwykłe, wyjątkowe wprost ludzkie draństwo.

Aż do chwili, w której przekroczona została granica Niezwykłego, wyjątkowego wprost ludzkiego draństwa. Aż do chwili, w której ludzie poczuli na sobie wszystkie jego skutki, które jak można się domyślać, nie były wcale przyjemne. Niezwykłe, wyjątkowe wprost ludzkie draństwo potrafi być bolesne. Bardzo bolesne. I wtedy ludzie przypomnieli sobie o Zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Gdzie jest Zwykła ludzka przyzwoitość? – pytali. Gdzie ona jest? – krzyczeli. A ona, nie w ciemną bitą, wynudzona i prawie zapomniana w swoim małym, zwykłym domku na skraju małego miasteczka, zupełnie nie miała ochoty wracać do swojej poprzedniej postaci. To ludzie przekonali ją, że nie warto być Zwykłą ludzką przyzwoitością. To ludzie przekonali ją, że lepiej być Niezwykłym, wyjątkowym wprost ludzkim draństwem.



Wierność i Zdrada

Były sobie, żyły sobie dwie piękne, mądre siostry: Wierność i Zdrada. Mieszkały raz tu, raz tam, stale się przeprowadzały, przez co sprawiały wrażenie, że są wszędzie. Te wieczne przeprowadzki zawdzięczały swoim rodzicom – matce o dźwięcznym i oddającym jej naturę imieniu Iskra, która niczym wulkan kipiała każdego dnia energią i nie potrafiła usiedzieć spokojnie na jednym miejscu i ojcu – Świętemu Spokojowi, który dla tego spokoju właśnie, któremu zawdzięczał swoje imię, robił wszystko to, czego chciała matka. Te wieczne przeprowadzki Wierności i Zdrady stały się też przyczyną ich wielkiej popularności. Na całym wielkim świecie nie było nikogo, kto choćby nie słyszał o Wierności i Zdradzie, a zdecydowana większość mieszkańców tego świata znała je osobiście, albowiem w jakiś sposób miała z nimi do czynienia.

Wierność i Zdrada, mimo że były siostrami, były też zupełnie od siebie różne. Zdrada – zdecydowana „córeczka mamusi” była podobnie jak ona wulkanem, gejzerem emocji, pomysłów, kipiącym energią stworzeniem zdolnym do wszystkiego. Nie było takiego pomysłu, nie było takiego przedsięwzięcia, którego nie podjęłaby się Zdrada. A im było bardziej ryzykowne, bardziej niedorzeczne, tym lepiej. Zdrada uwielbiała komplikacje. Każdego rodzaju komplikacje. Ich tworzenie, ich wymyślanie, trzymało ją jakoś przy życiu, a nawet można powiedzieć, że było sensem jej życia. Zdrada uwielbiała też dzieło zniszczenia. Niczym wulkan, najpierw przyczajona, ale zawsze gotowa do skoku, wybuchała w najmniej oczekiwanym momencie. Wybuchała pomysłem, wybuchała działaniem, wybuchała, siejąc powszechne, ogromne zniszczenie.

Wierność zaś była klasyczną „córeczką tatusia”. Jak on spokojna, przedkładająca ów spokój nad wszystko inne, zdolna była do przeróżnych ustępstw, do każdego kompromisu, każdej ugody prowadzącej do utrzymania status quo. Wierność była przewidywalna. Zawsze, w każdej sekundzie życia wiadomo było, co jest dla niej ważne, jaką decyzję podejmie, co zrobi. Wierność uwielbiała czuć się bezpiecznie. Bezpieczeństwo to obok spokoju był dla niej warunek funkcjonowania, gwarantujący możliwość dobrego, satysfakcjonującego życia. Dlatego Wierność była cierpliwa. Dlatego Wierność była uczciwa. Dlatego Wierność gasiła już w zarodku, już na samym początku, każdy pomysł na zmiany, każdy pomysł, z którym związane było ryzyko.

Strasznie się te siostry ze sobą kłóciły. Były tak różne, tak odmienne od siebie, że nawet pozostawienie ich ze sobą w jednym pomieszczeniu mogło wywołać kłótnię, awanturę lub nawet prawdziwy pożar. Pożar emocji, których autorką zawsze była Zdrada, tak eskalująca każdy konflikt, że Wierność musiała osiągać wtedy jakieś wyżyny własnej cierpliwości, Mount Everest swojej spolegliwości. To tylko rozjuszało Zdradę i prowokowało ją do coraz większej destrukcji, coraz większego zamieszania.

Zrównoważona, spokojna, dająca pewność i bezpieczeństwo Wierność i gwałtowna, nieprzewidywalna, siejąca zniszczenie i ból Zdrada tkwiły w jakimś przedziwnym, nierozzerwalnym uścisku, w jakiejś niezrozumiałej dla nikogo poza nimi symbiozie. Wierność i Zdrada, jak to bywa z tak nawet różnymi siostrami, bardzo się kochały. Kochały się tak bardzo, że nie potrafiły bez siebie żyć. I jak to bywa w takich związkach, gdzie tworzące je osoby są zupełnie do siebie niedopasowane, diametralnie od siebie różne, przez co ich relacja, ich wspólne bycie przypomina bardziej pole bitwy z rannymi, cierpiącymi, pokonanymi niż jakieś spokojne, bezpieczne bytowanie, obie siostry stale chciały być razem. W ich codziennych potyczkach, w ich codziennej walce raz wygrywała jedna, raz druga. Raz głos miała Wierność, innym razem Zdrada. Raz o czymś życiu decydowała Wierność, innym razem robiła to Zdrada. Zawsze razem, zawsze w nierozzerwalnym, pełnym napięcia i bólu, czasem nieznośnym dla nich samych i wszystkich wokół uścisku. Wierność i Zdrada. Zawsze razem. Zawsze w napięciu i walce. Walce o nasze serca i nasze dusze. W walce o nasze życie.



Bajka o psie, który co prawda nie jeździ koleją, ale za to jest najukochańszy na świecie

Był sobie pies. Pies jak pies, powiecie. Świat pełen jest psów, powiecie. Ale ten pies był naprawdę wyjątkowy. Był wyjątkowy dlatego, że był najukochańszy na świecie. Jest na tym świecie dalej i jest dalej najukochańszy, ale w bajkach przyjęło się pisanie, że był. Taka forma, taka sztuczka. Sztuczka z bajki. Był świat, była królowna, był sobie pies.

No więc ten pies miał najpiękniejszą na świecie mordkę. Taką mordkę, na widok której uśmiecha się każdy – wesoły i smutny, pogodny i mruk, młody i stary. Nie można było na widok tej mordki się nie uśmiechnąć – taka to już psia mordka. Miał (ma) też ten pies najpiękniejsze na świecie futro. Takie futro, co sprawia, że nawet na Alasce nie zmarznie, nawet na biegunie, na lodowcu będzie mu ciepło. I ciepło robi się każdemu, kto tego futra dotyka, kto to futro pogłaszcze. Ciepło na sercu.

Nie ma takiego smutku, nie ma takiej rozpacz, na które nie pomoże ten pies. Ten wyjątkowy, najukochańszy na świecie pies potrafi się bowiem uśmiechać. Wystarczy zacząć z nim rozmawiać (tak, ten pies rozumie wszystko, co się do niego mówi), żeby jego prześliczna mordka zaczęła się uśmiechać. I ten uśmiech rozbraja. Zupełnie rozbraja. Przy tym uśmiechu znikają problemy (no może nie tak całkiem znikają, ale na chwilę, na małą chwilę gubią się gdzieś w tej miękkiej, gęstej sierści, toną gdzieś w uśmiechu tego psa).

Ten pies jest wierny jak pies. Zawsze krok obok swojej pani czy swojego pana. Zawsze tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. Oj, jak on, ten pies, lubi tę wyciągniętą rękę pana czy pani. Czujnie obserwuje moment, w którym ta ręka zacznie się w jego stronę wyciągać. Wie on, ten pies, bowiem znakomicie, że na końcu tej ręki będzie zawsze coś. Będzie zawsze coś dobrego. Dobrego dla psa. Albo to będą głaski (a jaki pies nie uwielbia głasków?), albo to będą pyszności. I głaski, i pyszności są dobre, ale zdarzają się w życiu tego psa też takie chwile, kiedy na końcu tej ręki pojawia się długa, najdłuższa jak to tylko możliwe smycz. I wtedy zaczyna się prawdziwy szal radości. Będzie spacer. Prawdziwy spacer z psem.

Cóż ten najukochańszy na świecie pies potrafi robić na spacerze. Przygląda się wszystkiemu jak jakiś, nie przymierzając, badacz przyrody. Próbuje obwąchać i zapamiętać każdy centymetr, po którym idzie. Rozgląda się wokół i stara się przy tym wszystkim nie stracić z pola widzenia swojej pani, która jest na drugim końcu tej smyczy. Oczywiście jak każdy pies uwielbia zabawy. Bieganie za rzuconą mu zabawką czy patykiem. Ale ten pies ma też swoją, całkiem swoją zabawę. Nawet dwie swoje, całkiem swoje zabawy. Ten najukochańszy na świecie pies uwielbia, gdy mu się rzuca przybrzeżne kamienie do wody (pies bowiem mieszka nad wodą – jego ludzie też tam z nim, nad tą wodą mieszkają). Wskakuje wtedy do tej wody z impetem (impet oznacza w tym przypadku gwałtowne chłapanie i ochlapywanie wszystkich i wszystkiego wokół) i oczywiście, jak przystało na gapę (ten pies jest wielką gapą i to też jest w nim urocze), nie znajduje w wodzie tego rzuconego mu kamienia. Wraca więc roześmiany na brzeg i domaga się powtórki z rzucania. I tak sobie trwa i trwa ta zabawa w rzucanie kamieni do wody i gubienie kamieni w wodzie. Pierwszorzędna zabawa psia. Druga ulubiona zabawa tego najukochańszego na świecie psa to kopanie w ziemi przeogromnych dziur. Wygląda to tak, jakby pies szykował się na koniec świata, na jakąś wojnę lub wygnanie. Jestem przygotowany na wszystko – zdaje się mówić wówczas jego piękna psia mordka, cała umazana ziemią – przygotowałem sobie mieszkanko na wszelki wypadek, jestem samowystarczalny. Taki to sprytny i zaradny jest pies.

Ten najukochańszy na świecie pies ma najpiękniejsze na świecie oczy. Oczy, w których jest wszystko. Jest miłość, jest wierność, jest przywiązanie, jest oddanie, jest zaufanie, i spokój też tam jest. Taki spokój, który oznacza najważniejsze na świecie bezpieczeństwo. Kocham was i jestem z wami bezpieczny, zdają się mówić oczy tego psa. Kocham was i jestem tu, z wami w naszym domu. Dobrze mi w tym domu. I najukochańszy na świecie pies ma rację. Dobrze nam w tym domu. W domu, który jest wspólny, jest nasz, w domu, w którym mieszka z nami najukochańszy na świecie pies.



Chcemy iść do szkoły

Bajka o tym, jak było przedtem

Dawno, dawno temu była sobie szkoła. To takie miejsce, do którego rano, z samego nawet rana, idą sobie dzieci pozornie po to, żeby się uczyć, a tak naprawdę po to, żeby spotkać się z koleżankami i kolegami, razem się bawić, móc ze sobą pogadać, zwyczajnie, po ludzku ze sobą pobyc. Całe to uczenie się też nie zawsze było takie złe. Niektórzy nauczyciele byli naprawdę fajni, opowiadane przez nich historie były ciekawe, a związana z tym praca dawała dzieciakom satysfakcję.

Jednak jak to w życiu (no i w bajkach, co są o życiu) bywa, ludzie na tę szkołę narzekali. Narzekali wszyscy i ze wszystkich stron. Narzekali uczniowie (wiadomo – wysiłek, oceny, lęk, nuda, obowiązki), narzekali nauczyciele (jak długo można „użerać” się z tymi niesfornymi młodymi?), narzekali rodzice (co ci nauczyciele robią z moim dzieckiem, ono takie zdolne, jak mogą tego nie widzieć?). Narzekali tak, jak się narzeka na coś, co jest najpewniejsze na świecie, co jest oczywiste i będzie trwało, trwało i trwało.

Pewnego jednak razu, całkiem niedawno, na świecie zapanował chaos. Taki prawdziwy, jak z koszmarnego snu. Chaos, a może nawet Armagedon. Stało się to przez tajemniczego wirusa, który opanował cały świat. Wyobrażacie sobie, jaki sprawiedliwy, jaki równościowy to był wirus? Wirus, który opanował cały świat.

Odmienił życie tych dużych i tych małych. Śmiertelnie (dostanie się w łapki/kolce tego wirusa groziło bowiem śmiercią) przestraszył, gwałtownie zdeorganizował codzienność, pozamykał w domach, odciął od ludzi, odciął od świata. Odmienił ten wirus także i szkołę. Tę oczywistą, tę, do której każdego dnia rano trzeba było wstać i trzeba było PÓJŚĆ. Okazało się bowiem, okazało się nagle, tak z dnia na dzień, że wszyscy muszą zostać w swoich domach. Przez tego wirusa. Muszą zostać w domach i muszą się w tych domach uczyć sami. Nazwano takie samotne, domowe uczenie się EDUKACJĄ ZDALNĄ (nie pomyślcie sobie, że chodziło im o edukację żadną, nie, to miała być jakaś edukacja zdalna).

Ta zdalna (a może jednak ta żadna) edukacja posadziła przed ekranami komputerów, laptopów zarówno tych, którzy dotąd uczyli innych, jak i tych, których to uczenie się dotyczyło. Przed tymi ekranami siedzieli (i siedzą tak do dzisiaj) zarówno nauczyciele, jak i uczniowie. Bywa, że nawet się nie widzą, lub widzą się tylko przez chwilę. Wyłączone kamery uczniów sprawiają, że nauczyciele mówią do ciemnego, pustego ekranu, na którym jedyne co widzą, to ich własna twarz.

Ta własna twarz to znak rozpoznawczy edukacji zdalnej. To znak rozpoznawczy nowej, pandemicznej szkoły. To symbol innej edukacji. Mówimy sami do siebie – myślą nauczyciele, myślą wykładowcy (taka pandemiczna edukacja jest w każdej szkole, także wyższej). Do kogo oni mówią – myślą sobie uczniowie, którzy, wyłączwszy kamerę, robią sobie w tym czasie, co tylko sobie chcą.

I jedni, i drudzy (nauczyciele i uczniowie) są już tym bardzo zmęczeni. Osamotnieni i przestraszeni (wszakże siedzą w tym zamknięciu z powodu śmiertelnego zagrożenia), marzą o powrocie. O powrocie do normalności (tak jedni i drudzy nazywają to, co było przedtem, co było przed Armagedonem), o powrocie do tej zwykłej, tej krytykowanej powszechnie szkoły marzą nauczyciele i marzą uczniowie.

Tak to rzeczywistość, przerażająca i groźna, potrafi pokazać coś, co znamy (albo wydaje się nam, że znamy) od podszewki w zupełnie nowym, w zupełnie innym świetle. Jak w tej starej, tak starej, że już nikt nie pamięta czyjej, piosence: „Żeby już do szkoły po prostu można było iść, żeby już do szkoły, po prostu dziś, dziś, dziś, tam dzień wesoły spotyka nas przez cały czas, chcemy iść do szkoły, tak, tak, tak”.



Kiedy wali się cały świat

Bajka o prawdziwym smutku, który czasem zamienia się w gniew

Dawno i niedawno, kiedyś i teraz, za lasami, za górami, czyli gdzieś bardzo daleko i tuż obok nas, przy nas, a nawet u nas, czyli bardzo, bardzo blisko, padają czasem takie słowa: „dzisiaj zawalił się cały mój świat” Słowa, które słyszał pewnie każdy. Słowa, które wypowiedziało pewnie wielu.

Świat zawalił się tej smutnej kobiecie w czerwonej sukience. Widzicie ją codziennie, widzicie ją, jak idziecie do pracy. Siedzi sobie na przystanku (na waszym przystanku, tym, z którego odjeżdżacie do pracy), zawsze sama, zawsze smutna i zawsze w czerwonej sukience. Tę sukienkę dostała kiedyś (w jakimś innym życiu) od swojego męża. Od tego samego, który mówił jej, że jest najpiękniejsza na świecie. Od tego samego, który mówił jej, że kocha ją najbardziej na świecie. A później, nieoczekiwanie i bez ostrzeżenia poznał inną najpiękniejszą na świecie i to ją, tę inną, pokochał najbardziej na świecie. I odszedł. Porzucił. Została po nim ta czerwona sukienka i smutek tak wielki jak cały świat. Świat, który się wtedy zawalił.

Świat zawalił się temu mężczyźnie, który kiedyś był duszą towarzystwa, uwielbiał ludzi i uwielbiał się bawić, a dzisiaj siedzi sam, zamknięty w swoich czterech ścianach. Zawalił mu się ten świat po wyjeździe ukochanej żony, takiej prawdziwej kobiety życia. Najpierw przez kilka lat starał się o tę kobietę (naprawdę się starał), a jak już ją zdobył (jej miłość, jej serce, jej rękę), radość mężczyzny nie miała granic. Ale kobieta bardzo chciała wyjechać nomen omen za inną granicę, chciała popracować trochę w innym kraju, wśród nieznanych sobie ludzi. Zgodził się na ten pomysł mężczyzna, gdyż nie potrafił odmówić swojej ukochanej niczego. Naprawdę niczego. Tęsknił i czekał, czekał i tęsknił, aż zorientował się (najpierw się zorientował, a później dowiedział), że jego kobieta życia już nie wróci. Nie wróci, bo poznała tam, za tą granicą kogoś, kto starał się o nią jeszcze bardziej (choć to wydaje się prawie niemożliwe), i komu postanowiła oddać swoje serce i swoją rękę (zabrawszy najpierw jedno i drugie temu mężczyźnie). Zamknięty z własnej woli, a może z woli wielkiego, bezbrzeżnego wprost smutku, w swoim mieszkaniu mężczyzna stracił ochotę do życia. Stracił ją tak bardzo, że przestał jeść, przestał spać, przestał sprzątać i przestał się myć. I tak zdecydowanie, tak kategorycznie przestał to wszystko robić, że przestał w końcu żyć. Bo jak żyć w świecie, który się całkiem zawalił?

Świat zawalił się też temu małemu, słodkiemu chłopczykowi, który najbardziej na świecie kochał mamę i tatę. Kochał swój domek, kochał swoją rodzinę. Uwielbiał bawić się z tatą, uwielbiał wdrapywać się mu na plecy, biegać po tych plecach swoimi malutkimi nóżkami. Wydawało się, że jego tatuś też to uwielbia. Okazało się jednak, że tatuś zaczął bardziej od swojego malutkiego, słodkiego, zapatrzonego w niego syneczka uwielbiać pewną panią, pewną swoją koleżankę. I to niestety nie była mamusia tego malutkiego, słodkiego chłopczyka. Tatuś zniknął z pola widzenia, tatuś zniknął z domu, tatuś zniknął z życia chłopczyka i jego mamusi. Tatuś zniknął nawet wtedy, kiedy przychodził do synka w wyznaczonych na to przychodzenie przez sąd terminach (a kto to widział, żeby jakiś sąd mówił tatusiowi i jego synkowi, kiedy i jak mają się spotykać?). Zniknął, bo był nieobecny, zniknął, bo był zamyślony, zniknął, bo cały był wtedy gdzie indziej.

Mały, słodki chłopczyk dorastał bez tatusia. Bez jego miłości, bez jego uśmiechu, bez jego szerokich, bezpiecznych pleców. Pleców, na które zawsze można było się wdrapać. Dorastał w smutku. O takich chłopcach, o takich ludziach mówi się, że dorastają, że żyją z poczuciem straty. Straty, która z czasem zamienia się w pustkę. Straty, która z czasem zamienia się w gniew.

To gniew na świat, który w jednej nieoczekiwanej chwili potrafi się nam zawalić. I na ludzi, którzy, niegdyś tak bardzo nam bliscy, ten świat, cały nasz świat, potrafią nam zawalić.



Piękna i ta druga

Bajka o życiu w cieniu i o byciu cieniem

Ależ ty jesteś piękna. Jaka ona jest piękna. Takie zdania i takie słowa słyszała o sobie Jagienka, od kiedy tylko pamięta, od kiedy tylko zaczęła rozumieć to, co mówią inni ludzi. Czyli od zawsze. Od zawsze była tą piękną, cudowną, najpiękniejszą nawet. Obok niej, od kiedy pamięta, czyli także od zawsze, była jej serdeczna przyjaciółka Zosia. Zosia nie była taka piękna. O Zosi i do Zosi nikt tak jak do Jagienki i tak jak o Jagience nie mówił. Były zawsze obie, zawsze razem i zawsze była to piękna Jagienka i zwykła Zosia (zwykła, bo Zosia była bez przymiotnika).

Piękna Jagienka miała piękne życie. Ilekroć coś w tym życiu zawałała, zawsze ratowała się tym swoim pięknem. Jagience wszystko się w życiu udawało. A nawet jak nie do końca i nie od razu się udawało, to Jagienka umiała tak się zakręcić, tak zaczarować, tak zatrzepotać rękami (długimi jak stąd na koniec świata), że w końcu zawsze postawiła na swoim. Bardzo też we wszystkim pomagała jej Zosia. Zosia była w pomaganiu wprost niezawodna. Zawsze w pobliżu, zawsze gotowa do działania, zawsze na nie przygotowana, nie znająca słowa zmęczenie, nie znająca słów nie dam rady, nie potrafię.

Zosia żyła sobie w cieniu Jagienki. Zwykła Zosia i piękna, przepiękna Jagienka. Zosia lubiła to swoje życie i ten swój cień. Lubiła słuchać zachwytów nad urodą Jagienki, lubiła patrzeć, z jaką łatwością Jagienka osiąga wszystko, czego chce, lubiła Jagience pomagać. I kiedy ktoś próbował wciągnąć ją – Zosię w jakąś intrygę, kiedy próbował nastawić ją przeciwko Jagience, próbował rozbić tę ich niezwykłą przyjaźń (a jak wiadomo na tym świecie nie brakuje wszelkiej maści zawistników), Zosia była jak skała, była nie do ruszenia. I jak skała była przyjaźń obu tych najpierw dziewczynek, potem dziewczyn, a później dorosłych już kobiet.

Ludzie przyzwyczaili się do widoku ich razem. Przyzwyczaili się do piękna, które zawsze miało tło. Ludzie przyzwyczaili się do Jagienki i zawsze towarzyszącej jej Zosi. I trwałaby ta przyjaźń twarda jak skała jeszcze wiele, wiele lat, a może nawet do końca życia obu tych kobiet, gdyby nie mały, malutki przypadek, gdyby nie małe, malutkie zdarzenie.

Jagienka zachorowała, znalazła się w szpitalu, w którym już Zosia nie mogła jej cały czas towarzyszyć. Rozdzielone chorobą Jagienki obie kobiety przez chwilę zostały same. I wtedy Zosia, nasza zwykła Zosia, spotkała Marka. Marek mieszkał w sąsiedztwie, ale widząc zawsze obie kobiety, patrząc zawsze na obie kobiety, nie widział Zosi. Widział Jagienkę, piękną Jagienkę na jakimś tle. I teraz nagle i niespodziewanie okazało się, że Zosia – zwykła, normalna, bez żadnego przymiotnika Zosia/cień jest też całkiem ładną kobietą. Zaskoczony jej nowo odkrytą urodą i w równym stopniu zaskoczony siłą swojego zaskoczenia Marek podszedł do Zosi i zaczął z nią rozmawiać. Jak wielkie było jego zaskoczenie, kiedy okazało się, że Zosia jest także interesująca, dowcipna i bardzo, naprawdę bardzo miła. Od tej chwili to Marek i Zosia stali się nierozłączni. Spędzali ze sobą każdą wolną chwilę teraz, w czasie choroby Jagienki, i później, kiedy Jagienka wróciła już ze szpitala do domu i czekała na to, że wszystko będzie jak przedtem, że wróci Zosia i nadal będzie ją we wszystkim wspierać i we wszystkim jej towarzyszyć.

Niestety tak się nie stało. Zosia zyskała bowiem rzecz bezcenną – Zosia zyskała samodzielność, Zosia stała się samowystarczalna. Nie musiała już być niczym cieniem. Nie chciała już być niczym cieniem. Czuła się przy Marku pełnowartościowa, ładna, atrakcyjna. Zosia zyskała swoje, całkiem swoje przymiotniki. A Jagienka? Jagienka straciła swoją moc, swoją skuteczność, swoją niekwestionowaną pozycję. Jagienka jakby troszkę nawet zbrzydła. Tak to jest, kiedy tak potrzebujemy cienia, własnego cienia, że czynimy nim kogoś innego. Innego człowieka. Tylko my sami możemy być swoim cieniem. Tylko taki cień zostanie z nami na zawsze. Drugi człowiek w roli cienia to nic pewnego. I z całą pewnością też nic dobrego.



Starość

Bajka o zapominaniu

Są na tym świecie takie banały, które się w głowie nie mieszczą. Powtarzane po stokroć nawet wtedy, kiedy nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, stają się w jakiś sposób prawdziwe, obowiązujące i powszechnie podzielane. Są także i takie powierzchowne, proste, nie dotyczące sedna sprawy stwierdzenia, w których jednak tkwi jakieś małe ziarno prawdy. Takie banały śmieszą tych, których bezpośrednio nie dotyczą, ale niestety trudno z nich żartować tym, których życie w jakiś najmniejszy choćby sposób one opisują.

Tak właśnie jest z powtarzaniem po stokroć przez ludzi – niezależnie od wieku – zdaniem, że „starość się Panu Bogu nie udała”. Jest w tym zdaniu na pewno jakieś ziarno prawdy, jest w nim przestroga i jest w nim strach. Strach przed przemijaniem, strach przed upływem czasu, strach przed zmianą. Taką permanentną, taką wielką, życiową zmianą.

Co zmienia się z nami na starość? Starość kojarzy się z zapominaniem. Nie, nie chodzi o takie zwykłe zapominanie, gdzie odłożyłam nożyczki, jak nazywa się ten znany i lubiany aktor, lub co robiłam przedwczoraj wieczorem. Chodzi o to, że sami stajemy się zapomniani. Chodzi o to, że inni zapominają o tym, co umiemy, w czym jesteśmy doskonali, o tym, czego w swoim długim już życiu dokonaliśmy.

Wie o tym Basia – znakomita prawniczka. Taka prawniczka, która potrafiła wygrywać w sądzie sprawy na pierwszy rzut oka (a czasem i na drugi, i trzeci) beznadziejne, sprawy nie do wygrania. Kiedy Basia pojawiała się na sali sądowej zawsze towarzyszył jej szmer. Był to szmer podziwu zgromadzonej publiczności, był to szmer nadziei strony, którą właśnie reprezentowała, i był to szmer niepokoju strony przeciwnej. Basia jednak postarzała się tak, jak starzeją się wszyscy. Odeszła w stan spoczynku, ale przecież w stan spoczynku nie odeszła cała prawnicza wiedza Basi, całe jej doświadczenie i wszystkie prowadzone przez Nią sprawy. Basia nie zapomniła. To o Basi zapomniano. Nikt Jej nie pytał o opinię, o zdanie, nikt Jej nie prosił o radę. Siedziała sobie w tym stanie spoczynku taka zapomniana, taka nagle bezużyteczna, coraz bardziej tym wszystkim sfrustrowana.

Wie o tym też Janusz – doskonały niegdyś fachowiec, inżynier w wielkiej firmie budującej autostrady, drogi krajowe, drogi lokalne. Budowanie tych dróg było pasją Janusza. Janusz wiedział wszystko o drogach. I na co komu ta Jego wiedza, ta Jego pasja, te kilometry wybudowanych dróg? Jakże to wszystko ma znaczenie wobec tego, co stało się, kiedy Janusz musiał (tak, musiał, taka jest kolej rzeczy) odejść na emeryturę? Czy ktoś potrzebował pomocy Janusza? Czy ktoś pytał Janusza o zdanie w sprawie budowy jakiejś drogi? Czy ktoś chciał słuchać opowieści Janusza o tym, jak budował te drogi? O Januszu też zapomniano. Zapomniano o Jego wiedzy, fachowości, doświadczeniu. Stał się Janusz kolejnym starszym panem, kolejnym emerytem, który jakoś musi wypełnić sobie czas. Czas, który nazywa się życiem.

Basi i Januszowi zostały wspomnienia, które starali się zamieniać w opowieści. No ale, żeby móc coś opowiadać, musi być komu opowiadać. Potrzebny jest zawsze ten, który opowiada, i ten, który słucha. Zapomniana starość – tak, to o tym jest ta historia – nie ma dla siebie słuchaczy. W pędzącym do przodu świecie, w świecie, gdzie miarą wartości człowieka staje się jego skuteczność, w świecie, w którym słowo wyniki, efekty jest kluczem do powodzenia i szczęścia, starość jest już tylko przeszłością. Starość nie ma przyszłości. Takiej, jaką ceni i jakiej potrzebuje ten dzisiejszy dziwny świat. Dlatego starość jest zapomniana. Dlatego starość jest zapominana. Nie starość zapomina. To my, jeszcze młodzi, jeszcze z przyszłością, zapominamy o starości. A szkoda. Wielka, bardzo wielka szkoda. Bo starość to jest skarb. Skarb doświadczenia, skarb tych wszystkich przeżyć i towarzyszących im emocji. Starość to mądrość. A przecież jak niczego na świecie potrzebujemy dzisiaj mądrości. Dlaczego o tym zapomnieliśmy? Przecież jesteśmy młodzi.



Sława

Bajka o tym, jak słowa zmieniają znaczenia

Jaka ona jest sławna! Jej sława przekracza granice i kontynenty. O, przyjechał do naszego miasta ten sławny, bardzo znany chłopak. Muszę koniecznie go zobaczyć. Jest, jest, patrz, tam jest. To ta sławna kobieta, ta co stale jest w telewizji.

Sławni ludzie i ich sława. Co to takiego ta sława? Kiedy i dlaczego stajemy się sławni?

Bardzo, bardzo dawno temu (tak dawno, że najstarsi ludzie już tego nie pamiętają) niektórzy z nas chcieli być sławni. Marzyli o sławie, która uczyni ich niezapomnianymi, nieśmiertelnymi nawet. Szukali w sobie talentów, własnych możliwości, szukali pasji, która mogłaby ich do takiej sławy doprowadzić. I niektórzy znajdowali. Ten talent, te możliwości, tę pasję.

Do sławy, do takiej sławy jak kiedyś, prowadziła bardzo długa i bardzo droga. Droga wyboista, droga, na której łatwo się było zgubić. A że była tak trudna do przejścia ta droga, to bardzo łatwo też było z niej zboczyć na jakieś łatwiejsze, przyjemniejsze i prostsze ścieżki. Droga do sławy okupiona była bólem. Bólem związanym z wysiłkiem, bólem związanym z ryzykiem, bólem związanym z setką albo kilkoma setkami wyrzeczeń, na jakie trzeba było się zdobyć, jeśli naprawdę marzyło się o sławie.

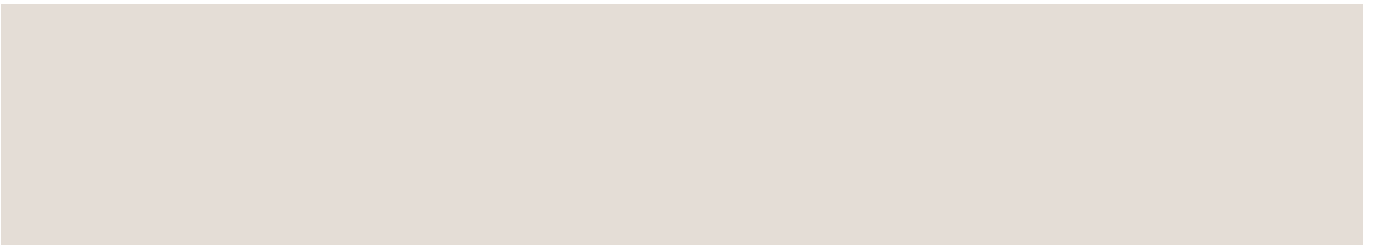
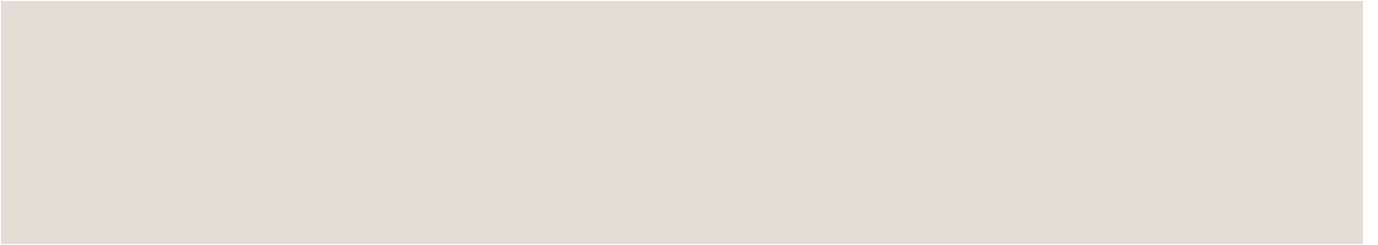
Droga do sławy była też samotna. Nie można przecież dzielić z innymi wysiłku ponad miarę, nie da się dzielić z innymi wyrzeczeń, nie można wspólnie się trudzić, ani wspólnie z równą desperacją dążyć do tego samego celu. Marzenie o sławie – o własnej sławie – wyklucza bowiem współpracę. Jest egoistyczne, jest indywidualne, jest bardzo, bardzo samotne.

I tak dawno, dawno temu do sławy dochodzili muzycy i malarze, aktorzy i pisarze, lekarze i uczeni. O nich wszystkich mówiliśmy (mówimy tak do dzisiaj), że byli Wielcy. Wielcy ludzie. Ludzie naprawdę wyjątkowi. Ludzie, którzy stali się sławni dlatego, że byli, że są wyjątkowi.

Dzisiaj, w naszym pięknym, kolorowym, pędzącym do przodu świecie, sława znaczy już coś zupełnie innego. I droga do tej sławy jest już inna, zupełnie inna. Dzisiaj nikt (no może prawie nikt) nie chce zbytnio się męczyć. Dzisiaj nikt (no może prawie nikt) nie chce podejmować wysiłku ponad miarę. Dzisiaj wszystko musi być już, musi być teraz, musi być natychmiast. Dzisiaj nie chcemy i nie umiemy już czekać. Dlaczego mielibyśmy więc czekać na sławę? Na taką starą, archaiczną sławę? Sławę wynikającą z talentu, opartą na wysiłku, na pasji. Dzisiaj wystarczy pomysł. Mieć pomysł – to zdanie kluczowe dla sławy. Modna odzież, o której będziemy pisali na blogu (blog, Instagram – to nowe drogi do sławy), serialowa aktorka, która opowie jak być „sexy mamą”, inna słabiutka aktorka, która napisze o sobie książkę – to nowe oblicza sławy, to nowe znaczenia sławy.

Kiedyś (dawno, dawno temu, tak dawno, że nawet najstarsi ludzie tego nie pamiętają) to inni pisali książki o sławnych ludziach. Inni dla innych. Inni dla wielu. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Dzisiaj ludzie, którzy chcą być sławni, ale nie chce się im (no przecież nie może im się chcieć) zbyt długo i zbyt dotkliwie męczyć, sami piszą o sobie książki. Piszą o sobie i piszą je niestety dla siebie. W naszym świecie, w którym wszystko musi być już, wszystko musi być natychmiast, nikt (no może prawie nikt) nie czyta już książek. Miarą sławy nie jest dzisiaj żaden rezultat, żaden wynik, ani żadne dzieło. Sławne są gwiazdy, które najczęściej pokazują swoje twarze, które opowiadają o swoim życiu, o swoich partnerach, o ślubach i rozwodach, o swoich dzieciach (tych, które już mają, i tych, które się dopiero urodzą), pokazują, jak urządzili mieszkanie, jakiego koloru kanapę postawili w pokoju, który w naszym pięknym kraju (nie bardzo wiadomo dlaczego) nazywa się salonem.

Sława, jak wszystko dzisiaj, utraciła swoją wyjątkowość i swoją cenę. Jeśli o coś nie trzeba zabiegać, jeśli nie trzeba się starać, a wystarczy pomysł, to przecież każdy może być sławny. Na szczęście i niestety. Wybierzcie sami.



Nauka, wiara i rozsądek

Kto opowiada nam świat

Dawno, naprawdę dawno temu (i to nie tak bajkowo dawno, tylko tak prawdziwie, temporalnie) na świecie pojawił się człowiek. I od razu, od pierwszego swego pojawienia się na tym świecie chciał wiedzieć i chciał rozumieć. Wiedzieć, co się wokół niego i z nim dzieje i dlaczego tak się dzieje. Chciał też wiedzieć, co on, człowiek, może zrobić, żeby działa mu się jak najlepiej. Ludzie bowiem zawsze chcą i zawsze chcieli, żeby było im jak najlepiej.

Człowiek więc szukał. Zawsze szukał. Szukał odpowiedzi na proste, jak nam się dzisiaj wydaje, pytania: Dlaczego pada deszcz? Skąd bierze się burza? Dlaczego czasami nadchodzi susza i wszystko niszczy, wszystko przestaje rosnąć? Dlaczego, dlaczego, dlaczego.

Drogą do odpowiedzi na te pytania było samo życie, było składające się na to życie doświadczenie. Dzielili się ludzie ze sobą tym doświadczeniem – najpierw nieśmiało, z zażenowaniem, niepewni własnych ustaleń, własnych spostrzeżeń, później już nieco pewniej, pewniej i pewniej. Układali historie, rysowali historie, opowiadali historie, spisywali historie, a wszystko po to, żeby jakoś zbliżyć się do prawdy. Do prawdy o sobie i do prawdy świecie.

Zamykali tę prawdę (o sobie i o swoim świecie) w przeróżne baśnie, legendy, pieśni i poematy. Tworzyli przedstawienia, wielkie i małe, w których zadawali pytania, na które nie znaleźli dotąd odpowiedzi. W tych baśniach, legendach, pieśniach i poematach, w tych przedstawieniach i w licznych, tworzonych na każdą niemal okazję przysłowiach zaklęty był ZDROWY ROZSADEK. To on – ZDROWY ROZSADEK – pozwalał ludziom w tych dawnych, odległych czasach jakoś porządkować i jakoś rozumieć ich świat.

Rozsądek jednak ludziom nawet w tamtych odległych czasach nie wystarczał. Nie zaspakajał ich potrzeb, ich apetytu na wiedzę i rozumienie tego, co się wokół nich i z nimi samymi dzieje. No i na rozumienie, po co to wszystko się dzieje, jaki w tym wszystkim jest sens i kto (no kto?) za ten sens odpowiada.

I tak pojawiły się na świecie wierzenia, a zaraz później ich zbiory, czyli religie. Wierzano w różnych Bogów, wierzano w różne Bóstwa. Te wierzenia też były oparte na obserwacji. Cykliczność świata przyrody, niezmiennosc i nieuchronność niektórych zdarzeń, ich następowanie po sobie (jak choroba, ciężka choroba, po której mogła nadejść śmierć) znajdowały swoje odbicie w różnych wierzeniach, w różnych religiach.

Ludzie potrzebowali czegoś więcej. Potrzebowali transcendencji – czegoś ponad zwykłe, codzienne bytowanie, czegoś większego niż oni sami. Religie im to zapewniały. Religia zapewnia im to do dzisiejszego dnia.

Ale całkiem niedawno (patrzac na to wszystko na „osi czasu” z całą pewnością niedawno) na świecie pojawiła się nauka. Nauka jako jedna z opowieści. Nauka jako jedna z dróg do wiedzy i do rozumienia świata. Świata i siebie w tym świecie. Świata, który jest, i świata, który można dla dobrostanu i szczęśliwości człowieka dopiero stworzyć. Nauka dała ludziom poczucie kontroli nad światem. Pozwoliła poczuć się na chwilę panami tego świata, dała władzę i obiecała pewność. Pewność tej władzy, tej kontroli i tego panowania.

Dzięki nauce człowiek wie i rozumie o wiele więcej niż przedtem. Mnóstwo zagadek zostało rozwiązanych, mnóstwo przeszkód zostało pokonanych. Nauka jest wielka. Nauka jest niezawodna. Ale tuż obok, wcale nie zapomniane, wcale nie niepotrzebne, są jeszcze wiara, religia i zdrowy rozsądek. Nauka, religia, wiara i zdrowy rozsądek opowiadają nam świat. A o tym, którą opowieść, kiedy i dlaczego wybieramy, decydujemy sami. Zawsze sami. My sami.



Od/czarowane dzieciństwo

I to wcale nie bajka

Jak dobrze być dzieckiem. Dzieci to mają fajnie. Dzieciństwo to najszcześniejszy czas w naszym życiu. Takie zdania czasem dobrze oddają, dobrze opisują rzeczywistość, a czasem wcale nie. Czasem ją tylko deformują, zakłamują lub tworzą iluzję czegoś, czego nie ma i czego nigdy nie było. Albo było i tylko nagle, zdecydowanie za nagle i za szybko się skończyło.

Wie o tym dobrze Ania. Ania jeszcze niedawno miała mamę i tatę, którzy co prawda często się ze sobą kłócili, czasami ze sobą nie rozmawiali, ale byli. Byli obok Ani i byli razem. I to razem znaczyło dla Ani bardzo, bardzo dużo. Ania była mała, a rodzina razem to było dla Ani najwięcej, co mógł dać Jej świat. Ania uwielbiała swojego tatę. Wysportowany, odważny, wesoły, zabierał Anię na różne wyprawy, nauczył pływać, jeździć na rowerze, na deskorolce. I to jeździć tak dobrze, tak brawurowo, że inne dzieciaki (nawet inni chłopcy) patrzyli na rowerowe i deskorolkowe wyczyny Ani z podziwem. Ania lubiła ten podziw i Ania bardzo lubiła być z tatą. Z tatą i z mamą. Razem.

Ale pewnego dnia tato postanowił się wyprowadzić. Postanowili tak razem z mamą. Nie chcieli, nie umieli, nie mogli być już razem. Tato poznał inną panią. Z tą inną panią czuł się lepiej niż z Anią i Ani mamą. Z tą inną panią czuł się tak dobrze, że nie tylko z nią zamieszkał. Sprawił sobie z tą inną panią dziecko. Nowe dziecko, które na domiar złego okazało się córeczką. Nazwali ją Hanią. Będzie Ania i Hania, śmiał się tato. Ale Ani nie było do śmiechu. Ania wiedziała, że bezpowrotnie straciła już tatę. Tatę, którego dotąd miała tylko dla siebie. Tatę, który był tylko i wyłącznie dla niej – dla Ani. Ogrom żalu dopełniała mama, która nagle z wesołej, zawsze gotowej do niewinnej psoty, do śmiechu towarzyszki zabaw stała się smutna, zamyślona, milcząca. To wszystko tak rozgniewało Anię, że stała się inną dziewczynką. Złą, nieposłuszną, pyskatą (tak do niej mówili rodzice – nie pyskuj, mówili, przestań w końcu pyskować, mówili). Dziwił się tato, dziwiła się mama – co takiego stało się z Anią?

O tym, jak mało zaczarowane bywa dzieciństwo, wie też Mikołaj. Mikołaj, który dostał od swoich rodziców takie imię, bo miał zawsze i wszystkim przynosić szczęście, bo był dla rodziców prezentem, bo sami traktowali go jak najpiękniejszy na świecie prezent. Mikołaj – prezent od Mikołaja. Niestety chłopiec nie przyniósł swoim rodzicom szczęścia. Na pewno nie przyniósł go tatusiowi. Tatusiowi to szczęście przyniosła przyjaciółka mamusi. Tak często przychodziła do nich do domu, że aż pewnego dnia wyszła z tego domu z tatusiem. Z tatusiem Mikołaja. I wtedy Mikołaj się wściekł. Wściekł się na cały świat. Na mamę, na tatę, na przyjaciółkę mamusi. Na krewnych, na znajomych, na kolegów i na koleżanki. Mikołaj wściekł się na całe swoje życie. Krzyczał na wszystkich i rozwał wszystko. Skoro zniszczyliście mi moje życie, ja zniszczę wszystko, co tylko się da, postanowił wściekły Mikołaj.

O tym, jak mało prawdy jest w zdaniu o szczęśliwym dzieciństwie, wie też Mareczek. Mareczek, od którego wyjechała mama. Miała wyjechać na krótko, miała wyjechać na chwilę, do jakiejś bardzo ważnej pracy. Ale ta chwila już trwa i trwa. Mama nie wraca, mama podobno już wcale nie wróci. Jak można nie wrócić do dziecka – do swojego dziecka? – zastanawia się Mareczek, wokół którego robi się pusto, coraz bardziej i bardziej pusto. Gdzie jest twoja mama? Kiedy przyjdiesz z mamą? – pytają mało delikatni (a może nawet złośliwi czy wredni) znajomi i nauczyciele. Dlaczego nigdy nie przychodzisz z mamą? Te pytania to coś dla Mareczka najgorszego na świecie. Najgorszego, najsmutniejszego i najbardziej upokarzającego na świecie.

Historie Ani, Mikołaja i Mareczka to przykłady jakich wiele. To przykład historii o tym, jak i co gubią zapatrzeni tylko w siebie, w swoje potrzeby, w swoje sprawy, w swoje przyjemności dorośli. Gubią oni szczęście swoich dzieci. Gubią oni szczęśliwe dzieciństwo swoich dzieci. Gubiąc ich dzieciństwo, sprawiają, że zagubione dzieci mogą już nigdy się nie odnaleźć. W miłości, w rodzinie, w relacjach z innymi ludźmi. Pogubieni dorośli i zagubione dzieci.



Bajka o tym, że wszystko zawsze wraca na swoje miejsce

Dawno, dawno temu, w dalekiej krainie, ludzie wiedzieli, ludzi mówili, ludzie często sobie powtarzali, że w życiu wszystko ma swoje miejsce. A skoro wszystko ma swoje miejsce, to nawet jak ktoś się gdzieś od tego miejsca oddali, jak przez przypadek pójdzie nie w tę stronę, nie tam, gdzie trzeba, to i tak kiedyś wróci na swoje miejsce.

Jak Jurek, który wychował się w wielkim mieście, w pięknej, zielonej, willowej dzielnicy, ale los rzucił go na wieś. Los i zawód, który sobie dość pochopnie Jurek wybrał. Jurek, który kochał wielkie miasto, kochał swoich licznych (naprawdę licznych) przyjaciół i nocne, wspólne z tymi przyjaciółmi eskapady (na co, jak nic innego, pozwala tak dobrze wielkie miasto), został mianowicie rolnikiem. Dlaczego Jurek został rolnikiem, tego nie wie nikt. Czy to miłość do zwierząt skierowała Go w stronę ich hodowania? Czy to mama – zootechniczka, która ze zwierzętami pracowała w tym wielkim mieście (tak, w wielkim mieście też można pracować ze zwierzętami i dla zwierząt)? – nie wiadomo. Wiadomo tylko, że Jurek na tej swojej wsi był z każdym dniem mniej zadowolony z decyzji, którą podjął, coraz mniej podobały mu się hodowane przez niego owieczki i coraz bardziej irytowała Go ta cała wieś. Niestety, zwierzęta jak ludzie – czują emocje, chłoną emocję, odpowiadają na emocje. Jurek marniał w oczach na tej wsi i jego owce marniały w oczach na tej wsi. Jurek sprzedał więc owce i swój wiejski dom i wrócił do miasta. Nie był to jednak dobry powrót. Nie był to ten powrót, o który w życiu nam chodzi. Miotał się Jurek między rodzinnym domem (a kto to widział, żeby dorosły, bardzo już dorosły facet mieszkał ze swoją mamą?) a znajomymi, którzy zdążyli już pozakładać rodziny i nie mieli już czasu ani nawet ochoty na nocne z Jurkiem eskapady. Martwił się Jurek i smucił, myślał, myślał i myślał. I postanowił zamienić swoje wielkie miasto na zupełnie inne, odległe, zamorskie wielkie miasto. I prawo wracania wszystkiego na swoje miejsce zadziałało – Jurek odnalazł tam, w tym zamorskim wielkim mieście, swoje szczęście, swoich nowych przyjaciół, swoją miłość nawet. Jurek wrócił na swoje miejsce.

Podobnie było z Pawłem. Paweł wychował się w lesie. W pięknym lesie na skraju tego dalekiego kraju. I jak to bywa w takim domu w lesie, Paweł jak nikt inny znał się na prawach natury, rozumiał prawa natury, potrafił z przyrodą dogadać się zawsze i wszędzie. Ogień rozpalał w minutę, na tym ogniu potrafił wyczarować najlepsze na świecie potrawy, a jeszcze jakie przy tym opowiadał historie! Wszyscy siedzieli przy tym rozpalanym przez Pawła ogniu, zjadali się pieczonymi przez Pawła pysznościami i słuchali, słuchali, słuchali. Ale los (ten dobry, ale czasami trochę przewrotny los) sprawił, że Paweł porzucił swój las, swój dom i wyjechał do miasta. Z miłości, jak mówił, i za miłością, jak mówił. W tym mieście, naprawdę wielkim mieście, też dobrze sobie radził. Jak każdy, kto rozumie las, kto umie poruszać się w ekstremalnych często warunkach (w lesie czasami bardzo, bardzo trudno jest żyć), poradził sobie tam, gdzie żyje się łatwiej. Inaczej, ale łatwiej. Czy był szczęśliwy? Pewnie tak. Czy był na swoim miejscu? Tak myślał, chociaż tak do końca na pewno tego nie wiedział. Dopiero kiedy los (ten szczęśliwy, tym razem już nieprzewrotny los) sprawił, że Paweł przeprowadził się znowu do lasu, do lasu leżącego blisko, bliźniutko tego wielkiego miasta, okazało się, jak dobrze jest wrócić na miejsce. Paweł znowu mógł w minutę rozpalać ogień, znowu mógł na tym ogniu robić te swoje pyszne potrawy, znowu mógł opowiadać te swoje magiczne historie o lesie, co jest wieczny, o czasie, który, mimo że płynie, też trwa i trwa, o dawnych zwyczajach i tym wszystkim, co widać tylko wtedy, kiedy jest cicho, kiedy jest spokój. Wkoło i we własnym sercu. Wkoło i we własnej duszy. Tylko w ciszy i tylko w spokoju, które są nam dostępne wtedy, kiedy jesteśmy na miejscu, na naszym miejscu, możemy snuć naszą historię, możemy opowiadać nasze życie. Tylko w naszym własnym, odnalezionym przez siebie miejscu możemy żyć własnym życiem.



Zła matka

Jak żyje się bez tego, co najważniejsze

Wszystkie matki są dobre, wszystkie matki są kochane, wszystkie matki uwielbiają swoje dzieci, a macierzyństwo jest najpiękniejsze na świecie. Tak, to prawda. To najprawdziwsza prawda. Tylko, jak to z prawdą bywa – nie cała, nie zawsze i nie tak do końca.

Kaśka była złą matką. Była złą matką, bo nie umiała być inną. Zawsze zapatrzona w siebie, zawsze na sobie tylko skupiona, sobie tylko poświęcająca uwagę, nie znajdowała już przestrzeni na kogokolwiek innego – ani w swoim sercu, ani w swojej głowie. Niestety Kaśka miała córkę. Wyszła za męża i, jak to w życiu bywa, niecały rok później urodziła się Jej córka. Magda – córka Kaśki.

Magda była całkiem zwyczajna i to był sam początek kłopotów. Kłopotów Magdy. Kaśka nie lubiła bowiem (a nawet wprost nie znosiła) niczego, co zwyczajne, co pospolite, co podobne do innych. Dlatego Kaśce nie spodobała się córka. Nie spodobała się Jej tak od samego początku, można powiedzieć, że od pierwszego wejrzenia. Kaśka wolała mieć syna. I nie dlatego, dlaczego wszyscy wolą mieć syna – żaden tam pierworodny, żadna tam ciągłość rodu i jego nazwiska. Kaśka chciała mieć syna, bo wbiła sobie do głowy, że chłopcy, że synowie najbardziej na świecie kochają swoje matki. I kochają je tak nieprzerwanie do końca życia. A córki nie – córki przecież muszą pokochać kiedyś jakiegoś innego mężczyznę i jakieś inne dzieci. Muszą pokochać ich bardziej niż matkę.

Żyła sobie więc ta niekochana od samego początku Magda i bardzo, ale to bardzo cierpiała. Na każdym kroku, w każdej sekundzie czuła, widziała, była pewna, że mama jej nie kocha. Moja mama mnie nie kocha – powtarzała sobie Magda każdego dnia i myślała sobie Magda każdego dnia, i były to czarne myśli, i były to czarne dni. Magda się bardzo starała. Starała się zdobyć serce matki. To serce matki, o którym piszą poeci, śpiewają pieśniarze, o którym powszechnie wiadomo, że jest najlepsze na świecie.

Co jednak może zrobić dziewczynka, mała dziewczynka, której matka jest tak zajęta sobą, tak na sobie skupiona i tak rozzaczarowana tym, że ma córkę, że nawet nie widzi (a może nie chce widzieć) tych wszystkich starań?

Z każdym rokiem życia Magdy i z każdym rokiem życia Kaśki było tylko gorzej i gorzej. Okazało się bowiem, że Magda wyrasta na śliczną, mądrą i bardzo lubianą młodą kobietę. Taką, która ma swoje marzenia i cele, taką, która potrafi je realizować, taką, która podoba się innym. Nie mogła Kaśka tego znieść, po prostu nie mogła na to patrzeć. Nie uda ci się, nie może ci się to udać – mawiała do córki, kiedy ta wyjawiała jej swoje plany, zdradzała jej swoje zamiary. Nie dasz rady, jesteś na to za słaba – mówiła wtedy matka do swojej niekochanej córki.

Szałę goryczy przechylili mężczyźni. Mężczyźni Magdy – nie Kaśki. Każdy, który przychodził do córki, był najpierw zagadywany przez matkę. Każdy był zapraszany na chwilę rozmowy, która zawsze przeradzała się w próbę oczarowania go, wzmacnianą dodatkowo słowami „przecież ja jestem fajniejsza od niej, od tej mojej nieudanej córki”.

I Magda tak sobie żyła z tym najboleśniej, najstraszniej na świecie brakiem – brakiem miłości matki. Ten brak, ten dotkliwy brak stał się osią jej osobowości, stał się takim dyżurnym niejako, wpisanym w jej biografię problemem życiowym. Ale stał się też ten brak dowodem na to, co jest najgorsze na świecie. Dlatego Magda, ta niekochana przez matkę Magda nauczyła się kochać najbardziej na świecie. Swoje dzieci, swojego mężczyznę, innych ludzi. I żyją sobie tak obie do dziś. Matka, która nie potrafi kochać, i córka, która dzięki temu nauczyła się kochać. Żyją tak sobie każda ze swoim brakiem.



Tak bardzo się boję

Bajka o lęku, który zawsze nam towarzyszy

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami mieszkali sobie ludzie, którzy żyli z lękiem. Z lękiem za pan brat. Lęk był z nimi zawsze i lęk był z nimi od zawsze. Czego tak się bali ci mieszkający za siedmioma górami i za siedmioma lasami ludzie? Co ich tak przerażało, co burzyło im spokój?

Lękiem napawało ich wszystko. Na przykład Janek, który na pierwszy rzut oka wyglądał na całkiem zadowolonego z życia mężczyznę, bał się bardzo tego, że będzie taki jak inni. Janek bowiem chciał być wyjątkowy. Janek chciał się wyróżniać. Tym, jak mówi, i tym, co mówi, tym, jak wygląda, jak się ubiera, jakie ma i jakie wygłasza poglądy, jak żyje. Ta potrzeba wyjątkowości sprawiła, że Janek każdego dnia, w każdej sekundzie swojego życia myślał o tym, czy jest wystarczająco wyjątkowy. I każdego dnia, w każdej sekundzie swojego życia Janek bał się, że jednak nie jest tak wyjątkowy, jakby chciał, tak wyjątkowy, żeby zauważyli to wszyscy. Lęk przed byciem takim jak inni, przed byciem takim samym, to był wielki, życiowy problem Janka. I źródło jego lęku.

Wiesia bała się z kolei tego, że będzie się za bardzo wyróżniać. Wiesia chciała być taka jak inni. Wiesia chciała wtopić się w tło, być niezauważalna. Tylko w taki sposób czuła się bezpieczna, tylko wśród innych, z przekonaniem, że nikt na nią nie patrzy, nikt jej nie dostrzega, czuła się dobrze. I tylko wtedy się nie bała. Żyła sobie Wiesia z tym lękiem przed byciem zauważoną, przed byciem choćby troszeczkę inną niż wszyscy, przed byciem w jakikolwiek sposób wyjątkową. Tylko się nie wyróżniaj, siedź cicho, „pokorne ciele dwie matki ssie”, powtarzali jej rodzice, nauczyciele, znajomi. Tak to się Wiesi zdarzyło, taki to lęk przypadł Jej w udziale. Lęk przed jakąkolwiek innością, lęk przed oryginalnością.

Andrzej z kolei bał się stagnacji. Bał się bezruchu, jaki towarzyszy rutynie. Bał się, że życie nie dostarczy mu wystarczająco dużo okazji do realizacji marzeń, do samorealizacji. Że nie dostarczy mu wielkich celów, że on sam, Andrzej, takich celów nie będzie umiał znaleźć. Bał się, że jego życie będzie nudne, będzie puste, jak, nie przymierzając, wiadro na wodę, do którego zapomniano nalać tej wody. Ten lęk przed stagnacją, ten lęk przed rutyną napędzał Andrzeja do działania, napędzał go każdego dnia. Andrzej nie mógł, nie chciał usiedzieć na miejscu. I mimo że życie Andrzeja momentami przypominało klatkę chomika, który stale przebiera łapkami, a jednak stoi w miejscu, on sam nie przestawał się bać i nie przestawał działać, działać, działać. Tak bardzo się bał braku tego działania, tak bardzo bał się bezruchu i nudy, że aż się w tym działaniu zapomniął, aż go to działanie całkiem pochłonęło.

Ola bała się zaś wszystkiego. Lęk Oli był permanentny, lęk Oli był całościowy i dotyczył życia. Całego życia. Ola bała się na przykład innych ludzi. Bała się wszystkich ludzi. Od ludzi może spotkać cię coś złego, ludzie to nic dobrego, uważaj na ludzi – przestrzegali Olę bliscy. I Ola się bała. Bała się też codziennych wyzwań, bała się zwykłych, prostych czynności. Uważaj, jak kroisz, możesz się skaleczyć, uważaj, jak idziesz, możesz się przewrócić, uważaj, gdzie stajesz, ktoś może na ciebie wpaść, słyszała Ola z każdej strony i każdego dnia. I bała się, bała i bała. Ola, która bała się wszystkiego.

Wśród tych wszystkich ludzi, w tym kraju za siedmioma górami, za siedmioma lasami, najlepiej ze wszystkich miał się lęk. Lęk powszechny, lęk wszechogarniający, lęk na każdą okazję. Czuł się w tym kraju za siedmioma górami i za siedmioma lasami nasz lęk królem świata, panem sytuacji, czuł się władcą absolutnym. Wziął bowiem (i wziął z łatwością) we władanie wszystkie ludzkie potrzeby, wszystkie ludzkie namiętności i wszystkie ludzkie zamiary. I to oni, ci ludzie, mu na to pozwolili. Strach się bać, myśleli sobie przyjezdni odwiedzający ten dziwny, odległy kraj. Strach się bać, myśleli i czym prędzej stamtąd odjeżdżali. Nie da się bowiem żyć z ciągłym lękiem i nie warto żyć z ciągłym lękiem. Jak wszystko na tym świecie, to, co jest w nadmiarze, szkodzi. Jak lęk, co jest w nadmiarze.



Piękno, które potrafi wygrać z cierpieniem

Na świecie, na całym wielkim świecie jest naprawdę dużo cierpienia. Cierpienie niesie ze sobą ból, cierpieniu towarzyszy smutek i ogromne poczucie beznadziejności. Nikt nie chce cierpienia i nikt nie chce cierpieć. Ale los, przeznaczenie, splót okoliczności, czy co tam jeszcze chcecie, sprawia, że każdy z nas, po prostu każdy z nas jest albo narażony na cierpienie, albo już w swoim życiu z jakiegoś powodu się z tym cierpieniem spotkał. Spotkanie cierpienia – naszego cierpienia – zawsze zaskakuje, zawsze wytrąca z równowagi, zawsze powoduje chaos i wielkie zamieszanie.

Na co można cierpieć, przez co można cierpieć, dlaczego można cierpieć?

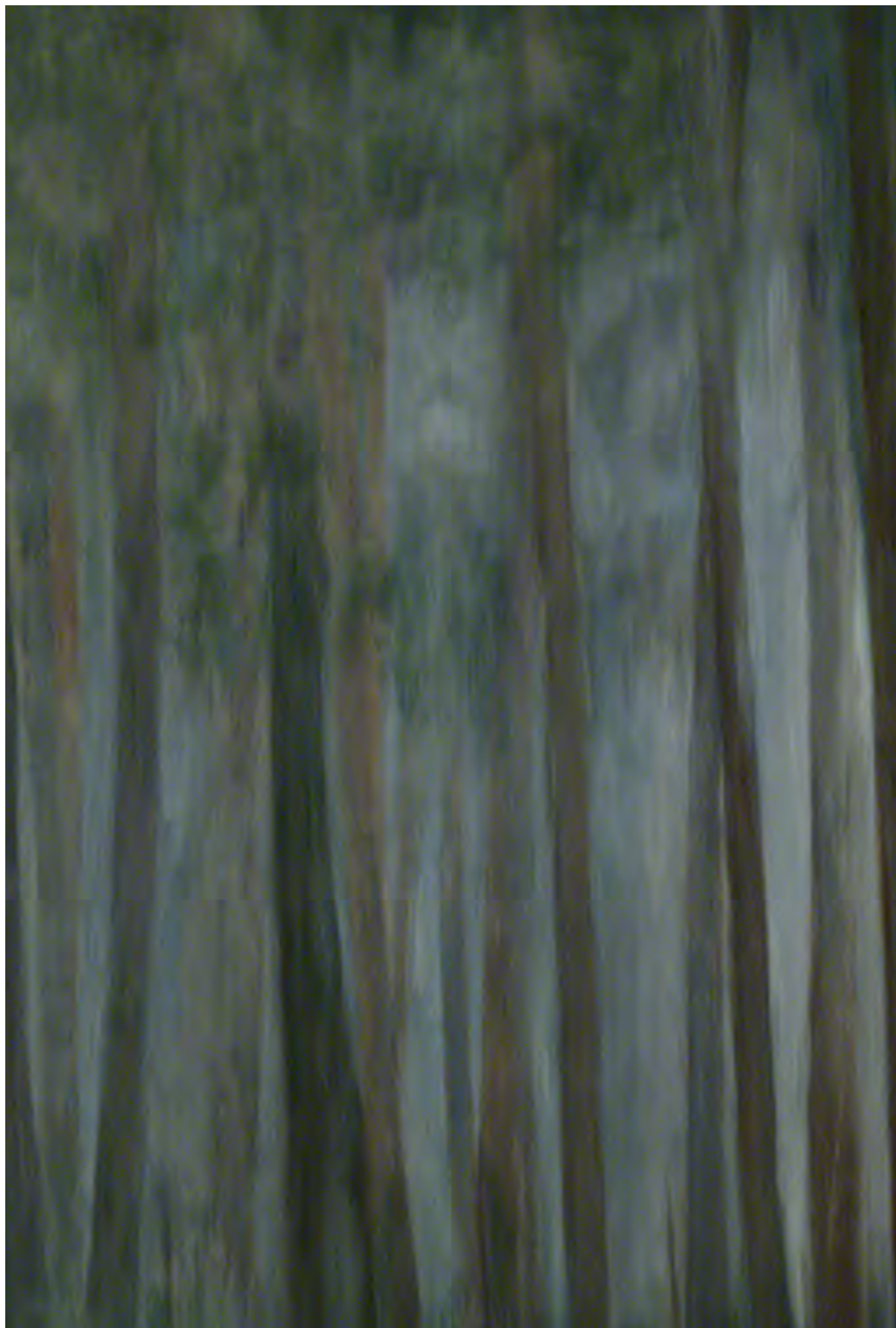
Cierpieć można na przykład z biedy. Oto wszyscy wokół jakoś sobie żyją, a ja nie mam na chleb – mówi smutna kobieta, matka kilkorga dzieci. Brakuje mi na wszystko – na rachunki, na lekarstwa, na jedzenie. O przyjemnościach, o wakacjach, o jakichś rozrywkach nawet nie myślę – żali się ta matka. I czuje się z tym okropnie i nie rozumie, dlaczego tak jest i dlaczego tak się czuje. Przecież się stara, stara się tak samo jak inni.

Cierpieć można na przykład z miłości. Z nieszczęśliwej miłości. Jak ten mężczyzna, który tak kochał kobietę, że pozwalał jej na wszystko, na wszystko się zgadzał. I kiedy chciała wyjechać, też się na to zgodził. A ona – ta kobieta – już nigdy do niego nie wróciła. I został sam, załamany, tęskniący, czyniący sobie wyrzuty bez końca.

Cierpieć można na przykład z powodu pogardy. Pogardy ze strony innych ludzi. Pogardy, która pojawia się wtedy, kiedy nie spełniamy ich oczekiwań, kiedy jakoś odstajemy od reszty, kiedy nie chcemy lub nie mamy tego, czego chcą, lub co mają wszyscy. I wtedy nasze „pogardzane ja” cierpi, zamyka się w sobie, całą swoją energię skupia na obronie, na zapewnieniu sobie jakiegoś elementarnego bezpieczeństwa. Bezpieczeństwa w świecie, który nagle wydaje się temu „pogardzanemu ja” obcy, groźny, a nawet przerażający.

Cierpieć można z powodu zdrady. Zdrady ukochanej osoby, zdrady przyjaciela, zdrady tych, w których wierzyliśmy. Wierzyliśmy bez reszty. Taka zdrada najpierw zaskakuje, budzi niedowierzanie, nie mieści się w naszej głowie. Ale zaraz przychodzi cierpienie. Cierpienie zdradzonego człowieka. Cierpienie człowieka oszukanego. Nie da się o nim zapomnieć. Nie da się wyrzucić go ze swojego życia, ze swojej głowy, ze swojego serca.

Ale na te wszystkie cierpienia jest sposób. I tym sposobem jest piękno. Piękno nas samych i piękno w nas samych. W naszych zdolnościach, w naszych możliwościach, w naszych talentach tkwi nasze piękno. Matka, która cierpi z powodu biedy, bierze dodatkową pracę. I już jest lepiej. Jest lepiej z powodu piękna tej matki, piękna jej pracowitości. Beznadziejnie zakochany mężczyzna zaczyna pisać o swojej miłości. Píše codziennie, codziennie przypomina sobie każdy jej ułamek, każdy szczegół związany z tą miłością. I okazuje się, że to pomaga, że jest coraz lepiej, że można tak żyć. To piękno twórczości. Twórczości, która zamienia cierpienie w impuls do działania, oswaja je, udamawia, sprawia, że staje się ono zwykłym fragmentem naszej codzienności. Twórczej, spełnionej, a przez to pięknej codzienności. Człowiek, który doświadcza pogardy, potrafi znaleźć w sobie piękno poczucia własnej wartości. Nie jestem taki beznadziejny, jak mówią. Nie muszę być taki jak inni. Jestem w porządku, jestem ok. Człowiek zdradzony może próbować zaufać ponownie. Może otworzyć się na nową miłość, nową przyjaźń, nową znajomość. Może to zrobić dzięki pięknu, jakie jest w nadziei. Jeśli tylko odnajdzie w sobie to piękno – piękno nadziei – nadal będzie potrafił kochać, nadal będzie potrafił wierzyć i nadal będzie potrafił ufać. Piękno jest sposobem na cierpienie. Nasze piękno. Nasze wewnętrzne piękno. Piękno, które ma każdy z nas.



O deszczu, który wcale nie musi być smutny

„To w szyby deszcz dzwoni deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny”.

Deszcz to nostalgia, deszcz to szarość, deszcz to przygnębienie.

Jest jednak bardzo, bardzo daleko taka kraina, w której wszyscy – duzi i mali, młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni – uwielbiają deszcz. Taka deszczowa kraina. Deszcz pada tam zawsze. A jak coś dzieje się zawsze, to nikt nie wie, że może być inaczej, i nie wie też, że można się z tego powodu smucić.

Ludzie w tej krainie lubią kałuże. No bo jak tu nie lubić kałuż, skoro można sobie po niej skakać do woli (tak robią w tej krainie dzieci), skoro można sobie w niej umyć swoje buty (tak robią w tej krainie mężczyźni) i skoro można się w tej kałuży przeglądać (tak robią tam kobiety).

Ludzie w tej krainie uwielbiają parasole. Co rusz wymyślają nowe wzory i nowe fasony tych parasoli, organizują pokazy parasolowej mody, parasolowe trendy, nawet zawody na najciekawszy czy najbardziej oryginalny parasol. I są bardzo dumni ze swoich parasoli. Deszczowy kraj – królestwo parasoli.

W tym deszczowym kraju ludzie zdecydowanie są domatorami. Większość swoich aktywności organizują pod dachem. Dlatego osiągnęli swoje mistrzostwo w budownictwie i architekturze. Budują cudowne, niezwykle wprost domy, w których bardzo wygodnie, przyjemnie i przytulnie im się w czasie deszczu mieszka. Budują bardzo przestronne, ogromne hale sportowe, zadaszone boiska, kryte baseny. Projektują i budują restauracje, w których serwowane są potrawy z całego świata i do których mają zwyczaj przychodzić całymi rodzinami, żeby tych potraw próbować.

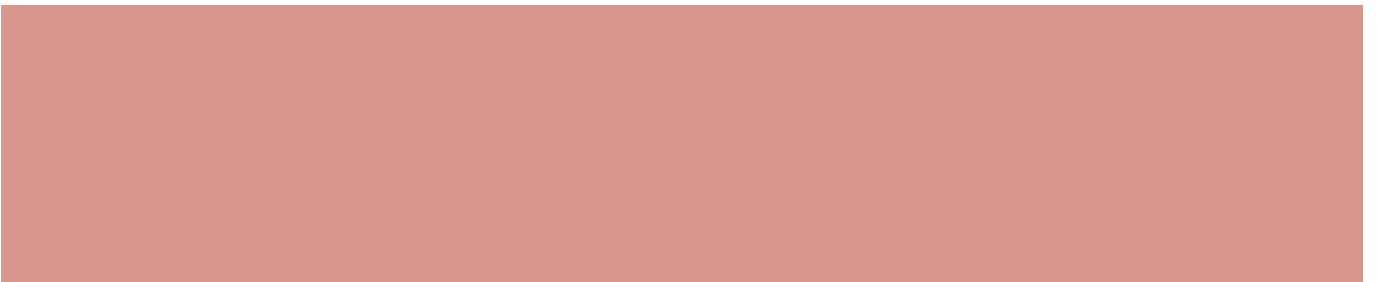
W tym deszczowym kraju ludzie bardzo dużo czytają. Bo przecież wie to każdy na świecie, każdy, kto przeżył choćby jedno deszczowe wakacje, jak dobrze jest mieć pod ręką ciekawą książkę, kiedy pada deszcz. Książka jest nawet (obok parasola) w herbie tego odległego, deszczowego kraju. Książka dobra na wszystko.

A ponieważ ludzie w tym odległym, deszczowym kraju czytają, czytają i czytają, to bardzo dobrze mają się w nim pisarze. Pisarzy jest coraz więcej, bo popyt oznacza zawsze podaż. Tak to już jest na tym świecie, nawet w najodleglejszym kraju. Pisarze się starają, wymyślają, opisują, zaciekawiają, zaskakują, zachwycają.

W tym deszczowym, odległym kraju ludzie uwielbiają gotować. Gotuje tam każdy. Gotują te wszystkie potrawy, których mogą spróbować w swoich wyjątkowych restauracjach. Przyprawiają, eksperymentują, wymyślają. Wszakże kuchnia to sztuka. Sztuka kulinarna. A ludzie w tym deszczowym kraju kochają, wprost uwielbiają sztukę.

W tym odległym, deszczowym kraju ludzie uwielbiają też ogień. Ogień w każdej postaci. Ogień w kominku, ogień ogniska (palonego w specjalnych, zadaszonych przed deszczem, ogromnych przestrzeniach), ogień, jaki daje płomień zapalonej świecy. Ten palący się we wszystkich domach tego deszczowego kraju ogień, te czytane przez wszystkich (małych i dużych) książki, te gotowane przez nich smakowite potrawy, którymi pachnie w mieszkaniach i poza nimi, pachnie po prostu wszędzie, tak jak pachnieć może tylko dom – to są znaki rozpoznawcze tego kraju.

Nigdy nie bywa tam smutno. A na pewno nie bywa tam smutno z powodu pogody, nie bywa tam smutno z powodu deszczu. No bo jak to możliwe, żeby komuś tak wyjątkowemu jak człowiek, komuś tak niepowtarzalnemu, tak kreatywnemu jak człowiek, mogło psuć nastrój, zakłócać życie coś tak błahego jak pogoda? Coś tak zwykłego jak deszcz? Coś tak oczywistego? Czyż to nie jest oczywiste, że deszcz nie musi być smutny?



Wolność i Wojna

I to już nie jest bajka

Dawno, dawno temu... Niestety, ta bajka musi zacząć się dzisiaj od słów teraz, w tej chwili, każdego dnia...

Teraz trwa Wojna. To jest Jej czas. A przecież Wojna i Wolność są jak dwie połówki, jak połączone bólem, zależne od siebie, ale dla siebie niebezpieczne pary. Razem im źle i bez siebie im źle.

Wolność jest piękna. Wolność jest jak marzenie. Wolność jest celem każdego z nas i imaginacją każdego z nas. Chcemy Wolności, myślimy, że mamy Wolność, potrafimy za Wolność ginąć, potrafimy o Wolność walczyć. O swoją Wolność, o Wolność naszych bliskich, o Wolność NASZĄ I WASZĄ.

Wojna odwrotnie. Wojna to koniec Wolności. Wojna to tej Wolności zaprzeczenie. Wojna to śmierć, niewyobrażalna agresja, Wojna to strach, to samotność, Wojna to ból, pot i łzy.

Dlaczego tak się dzieje, od kiedy my, ludzie, sięgamy pamięcią, że one obie są z nami, są obok siebie, są razem? Tak różne, tak niewyobrażalnie różne, zawsze prowadzą do siebie?

Przypomnijmy sobie (choć to teraz trudne), co dzieje się z nami, kiedy mamy Wolność. Kiedy jest z nami już długo, kiedy się u nas zdomowia, kiedy trwa i trwa. Kiedy jest z nami Wolność, chcemy jej więcej i więcej. Chcemy jej bez żadnych ograniczeń. Wolne ma być przecież wszystko. Nasze związki i rynek, nasz czas, media, szkoły i sądy, całe nasze społeczne, instytucjonalne i osobiste życie ma być tą ukochaną Wolnością przesycone, owładnięte, ma być jej podporządkowane. My, Wolni Ludzie. Ludzie, którym Wolno wszystko.

Niestety, wszystko, co staje się absolutne, wszystko, co zaczyna dominować w sposób, którego już nic nie może zatrzymać, prowadzi do władzy i daje władzę. Władzę absolutną. A władza absolutna ma to do siebie, że psuje. Psuje wszystko, czego się dotknie, potrafi zepsuć nawet to, co wydawałoby się niezniszczalne, na zepsucie niepodatne, wieczne i trwałe. Władza absolutna potrafi zniszczyć nawet Wolność. Absolutna Wolność jako nasze marzenie, nasza potrzeba, a w końcu nasza codzienność jest wymarzona, jest wprost bezcenna dla Wojny. I Wojna o tym wie. Czeką sobie spokojnie, silna, bezwzględna i jak zwykle przyczajona, jak zwykle gotowa do skoku, który w jej przypadku nazywa się atakiem i zawsze oznacza śmierć.

Wojna jest zaprzeczeniem Wolności, jest jej rewersem. Nikt nie chce Wojny. Ludzie boją się Wojny. Ludzie robią wszystko (tak przynajmniej mówią i tak im się wydaje), żeby Wojny nie było, żeby nie było jej już nigdy na świecie. Ludzie od Wojny uciekają – do piwnic, do specjalnie zbudowanych schronów, do innych krajów, na inne kontynenty. Ludzie o Wojnie piszą i mówią, ale odwrotnie niż o Wolności. Mówią o Niej z przerażeniem, z powagą i zawsze po to, żebyśmy pamiętali, żeby nas przed nią ostrzegać. Ci, którzy jej doświadczyli, mówią o Wojnie tym, którzy jeszcze nie wiedzą. Piszą o Wojnie dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą. Przestrzegają tych, którzy jeszcze nie wiedzą.

Dlaczego więc, skoro tyle wiemy o Wojnie, skoro tak bardzo ważny dla nas jest Pokój na Świecie (też chętnie o tym przy różnych okazjach mówimy), Wojna ma się z nami tak dobrze, że wciąż czeka, wciąż wie, że nadejdzie jej czas? Wojna, ta straszna, niosąca zniszczenie i śmierć Wojna wie o nas bardzo, bardzo dużo. Wie, że potrafimy zatracić się we wszystkim, co robimy, że nasze usta pełne są kłamstw i sloganów (dlatego tak kochamy reklamy), że dla własnej korzyści jesteśmy zdolni do każdej podłości, do oszustwa, do wszystkiego, co jest zaprzeczeniem Wolności. Przez naszą hipokryzję, naszą podłość i małość nic na tym świecie nie jest naprawdę wolne. Ani nasze związki, ani nasz rynek, ani nasze firmy, działania, sądy, ani media. Nie ma wolnych szkół i całkiem wolnego czasu. I właśnie o tym wie Wojna. Wojna wie, że zawsze ktoś ma w czymś swój interes. Interes, który zabija Wolność. Interes, który prowadzi do Wojny.

Akademia WSB

Dąbrowa Górnicza, Cieszyn, Olkusz, Żywiec, Kraków

WSB University

Akademia WSB

ul. Cieplaka 1c
41-300 Dąbrowa Górnicza
tel.: 32 295 93 00
e-mail: info@wsb.edu.pl

Wydział Zamiejscowy w Cieszynie

ul. Frysztańska 44
43-400 Cieszyn
tel.: 33 852 30 94
e-mail: cieszyn@wsb.edu.pl

Wydział Zamiejscowy w Olkuszu

ul. Polna 8
32-300 Olkusz
tel.: 725 777 999
e-mail: olkusz@wsb.edu.pl

Wydział Zamiejscowy w Żywcu

ul. Komisji Edukacji Narodowej 3
34-300 Żywiec
tel.: 725 558 880
e-mail: zywiec@wsb.edu.pl

Wydział Zamiejscowy w Krakowie

ul. Ułanów 3
31-450 Kraków
tel.: 885 588 800
e-mail: krakow@wsb.edu.pl



[awsb.dg](https://www.facebook.com/awsb.dg)



[Akademia WSB](https://www.instagram.com/Akademia_WSB)



[akademia.wsb](https://www.linkedin.com/company/akademia.wsb)



[Akademia WSB](https://www.youtube.com/Akademia_WSB)



[Akademia WSB](https://www.tiktok.com/Akademia_WSB)

wsb.edu.pl

ISBN 978-83-66794-76-4

